Nr. 75. Lwów — Wtorek dnia 3 Kwietnia. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: [illegible]

CENY OGŁOSZEŃ.
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: [illegible]
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 5.

Dziś: św. Ryszarda B. | Jutro: św. Izydora Arc. | Wasytyja Nykona Prep.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 5 m. 42. Zachód „ 6 „ 27.

Długość dnia g. 12 m. 45. Przybyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 2 kwietnia.

Jest pewna mało znana kwestya, na którą teraz zwrócono uwagę z powodu postanowienia rządu rosyjskiego zbudować długą i dość kosztowną kolej przez Laponię, kraj, leżący na północ od Finlandyi, prawie pusty, bo zaludniony tylko przez 24 tysiące Samojedów, ubogi zupełnie, gdyż nie posiada rolnictwa, ani żadnego przemysłu, pokryty śniegiem przez dziewięć miesięcy w roku i nawet rosyjskim geografom znany tak pobieżnie, że teraz, gdy postanowiono zbudować kolej, okazała się potrzeba wysłać pierwej naukową ekspedycyę, któraby zbadała, co to za ziemia. Dotychczas wiadomo było o niej tylko to, że Samojedzi tworzą szczep rasy fińsko-węgierskiej, kolor skóry mają żółty, oczy skośne, wzrost dochodzący zwykle do metra i 30-tu centymetrów, czasami do półtora metra, urzędowo wyznają od niedawna prawosławie, ale w gruncie rzeczy są od niepamiętnych czasów fetyszystami, żyją ze rybami, psią tran, odziewają się w skóry jelenie, które garbują bardzo oryginalnym sposobem, bo oto kobiety, siedząc kołkiem w jurcie, dłubią żyłą surową skórę, aż wyssą z niej tłuszcz i ona w wtedy zmięknie. Rzecz jasna, że w taki kraj postanowiono przeprowadzić koleją, która w przybliżeniu będzie miała około 800 kilometrów i pochłonie kilkadziesiąt milionów rubli, to jakieś nie ekonomiczne, ale jakieś inne względy miano na oku.

Dotychczas nie wiadomo, skąd ta kolej wyjdzie: z Archangielska nad Białem morzem, czy z Uleaborga nad Botnicką zatoką Bałtyckiego morza. Może obie, bo obie te linie będą zbudowane, ale jedna z pewnością i ta pójdzie ku Murmańskiemu brzegowi, to znaczy utknie w oceanie Lodowatym. Tak postanowiono z góry i jako ostatni punkt tej drogi obrano założony niedawno port Władimir.

Jedno tylko może mieć znaczenie ta kolej, mianowicie strategiczne, jako droga, służąca do dowozu wszelkich materyałów wojennych, kamiennego węgla i składowych części okrętów, które w warsztatach portu Władimira będą się naprawiały. Tak na oceanie Lodowatym powstanie stacya rosyjskiej floty, złączona koleją z wnętrzem państwa. A oczywiście, ta stacya będzie istniała dlatego, aby w razie potrzeby mogła carska flota wypłynąć na Niemieckie morze i ocean Atlantycki. Jakież względy nakazują takie przedsięwzięcie?

Morze Bałtyckie jest zamknięte. Rosya panuje na niem, jak na Czarnem, ale wyjścia z niego nie posiada. Jak klucz od Czarnego morza znajduje się w rękach sułtana, tak klucz od Bałtyku w rękach Danii, gdyż ten jedynie może przepłynąć przez Sund, komu pozwolą nadbrzeżne baterye kopenhazkie. Niedogodność tę uchylała Rosya w ten sposób, że w wielkiej zażyłości i w stosunkach bliskiego pokrewieństwa żyła carska rodzina z duńskim domem. Między Rosyą a Danią trwało coś w rodzaju niepisanego sojuszu, na mocy którego żadna obca flota nie mogła wpłynąć na Bałtyk bez zgody petersburskiego rządu, a natomiast flota rosyjska mogła zawsze wypłynąć na Atlantyk. Lecz w ostatnich latach to się zmieniło na niekorzyść Rosyi. Najpierw fabrykacya dział tak się udoskonaliła, że potężne armaty, ustawione na szwedzkim brzegu mogą ostrzeliwać cały Sund, a więc Rosya, aby wypłynąć na Atlantyk, musi mieć pozwolenie już nietylko Danii, ale i Szwecyi, o której jednak mówią, że się stale skłania ku zachodniej Europie we wszystkich międzynarodowych kwestyach. Następnie Niemcy zbudowały kanał, łączący Bałtyk z morzem Niemieckiem, a więc mogą same bez pozwolenia Danii wprowadzać swą flotę na Bałtyk, mogą to pozwolić także innym flotom, naprzykład angielskiej. Krótko mówiąc, stało się tak, że Rosya nie ma wyjścia z Bałtyku, a natomiast wjazd na to morze mają wszystkie państwa, które będą w przymierzu z Niemcami.

Jednakże, kto podczas wielkiej wojny nie będzie mógł zaczepnie działać na wybrzeżach niemieckich, angielskich, belgijskich, ten nie będzie posiadał na tych morzach własnego portu, w którym mógłby się w potrzebie schronić, ten będzie w położeniu znacznie gorszem, niż jego przeciwnicy. A zatem Rosya musi mieć port otwarty na ocean Atlantycki, port choćby tak niewygodny, jak ów Władimir, założony niedawno na Murmańskiem wybrzeżu.

Ale ten port jest jednak bardzo zły, bo przez sześć miesięcy w roku pokrywają go lody. Zdałby się tedy inny w tych stronach, a lepszy, i taki właśnie znajduje się niedaleko od Władimira, tuż nad norwezko-rosyjską granicą, lecz już w Norwegii. Tylko jeden brzeg jej zatoki należy do Rosyi, całość zaś i wyjście z ogromnej zatoki znajduje się w posiadaniu norweskiem. Jest to Varangerski Fiord, sławny z gęstwiny ryb, nigdy nie zamarzający, bo do tej zatoki, a to ten punkt ziemi, dociera ciepła ostatnia struga „oceanowej rzeki", zwana Golfstream, a wypływająca z wulkanicznych głębi Meksykańskiego morza, skąd płynie błękitną smugą wzdłuż przez Atlantyk, przesuwa się mimo Anglii, uderza o brzegi północnej Norwegii i ginie dziś pod biegunem. Otóż do tego fiordu Varangerskiego ma pretensyę Rosya i już od lat kilku ciągle dowodzi, że on powinien do niej należeć, albowiem w r. 1827 Norwegia nieprawnie posunęła swą granicę nieco na wschód i tak zabrała sobie tę znakomitą zatokę, o czem w Petersburgu wcale nie wiedziano, bo w ogóle nie miano wiadomości o tych zapadłych stronach. Pretensya rosyjska opiera się na tem, że po stronie norwezkiej, tuż nad zatoką, nieopodal twierdzy Vardöhuus, zamykającej wejście do fiordu, są dotąd ruiny prawosławnego klasztoru, który — jak rząd petersburski teraz powiada — nie mógłby tam powstać, gdyby ta ziemia kiedyś nie należała do Rosyi. A skoro należała i skoro w skutek żadnej wojny nie odpadła od caratu, przeto została zagarnięta nieprawnie i powinna być zwrócona. Ale tej sprawy Rosya nie stawia na ostrzu noża, nie wywołuje dyplomatycznych trudności, utrzymuje tylko, że takie jest jej prawo, które ona oddaje na sąd sprawiedliwych Norwegów. Bardzo to z jej strony niezwykłe i byłoby bardzo piękne, gdyby w tem nie było ogromnego wyrachowania na znacznie większy zabór. Tu właśnie przechodzimy do innej sprawy, ściśle z tamtą złączonej, a mało znanej w Europie.

Prawie od wieku istnieje w Rosyi cicha a wytrwała dążność do rozszerzenia carskich posiadłości kosztem północnej Norwegii, aby mogła bezpośrednio stanąć nad brzegami Atlantyku. Kto spojrzy na mapę, ten łatwo zrozumie, jak mało Rosya potrzebuje, aby od źródeł granicznej rzeki Muonio pociągnąć krótką linię ku Atlantykowi i w ten sposób wcielić do siebie norweskie okręgi Finmarken i Tromsø. Dawni rosyjscy dyplomaci i jenerałowie Korff, Bestużew, Panin i Alopäus, późniejszy Suchtelen i teraźniejsi Szyszkin i Zinowiew, stale się zajmowali tą myślą. Nikt w Europie tak bacznie nie obserwuje wypadków skandynawskich, jak petersburska dyplomacya, bo tam dla niej znajduje się druga kwestya bałtycka. I trzeba przyznać, że z Norwegią postępuje ona zręcznie. Zatargi Norwegii z Szwecyą o służbę konsularną — to jej sprawa, w której caratowi idzie o to, aby Norwegia oddzieliła się od Szwecyi. Dziś ta kwestya stoi tak, że prawdopodobieństwo rozdziału owych skandynawskich państw jest bardzo wielkie. Norwegowie, demokratyczni do takiego stopnia, że wcale nie mają szlachty, a zamiast wojska utrzymują tylko 12 tysięcy milicyi, nienawidzą arystokratycznych i militarnie usposobionych Szwedów. Interesa ekonomiczne są w tych krajach bardzo sprzeczne, bo Norwegia prawie nie ma rolnictwa, natomiast żyje z wywozu drzewa, żelaza, ryb i tranu, podczas gdy Szwecya jest krajem przeważnie rolniczym. Więc pierwsza hołduje zasadzie wolnego handlu, druga pragnie ceł ochronnych, aby dla siebie mieć rynek norweski. Stąd wzajemne między niemi prawie nienawiści, które się nigdy nie skończą, stąd i to zjawisko, że Szwecya sympatyzuje ze środkową Europą, a Norwegia jest rusofilską i zarazem wielbicielką Francyi. Idea oddania się pod opiekę Rosyi jest bardzo popularną w Norwegii, a w roku przeszłym znany polityk i poeta Björnson-Björnstjerne zaproponował wezwać cara na sędziego w sporze szwedzko-norweskim i oddać mu w prezencie fiord Varangerski.

Otóż gdy takie państwo, obojętne dla sąsiadów europejskich, i taki naród ubogi, więc nikomu niepotrzebny, a do tego nieliczny, bo wszystkiego dwumilionowy, odłączy się od Szwecyi, to jużci Rosya bez obawy jakichkolwiek zawikłań zagarnie sobie te jego północne okręgi, które caratowi są koniecznie potrzebne, jako punkt oparcia dla przyszłej atlantyckiej floty. Gdyby Rosya nie miała nadziei posiadania kiedyś tego kawałka norwezkiej ziemi, to z pewnością nie myślałaby o budowaniu kolei żelaznej z Uleaborga, czy z Archangielska na daleką i pustą, a prawie zawsze śniegiem zawianą północ — i nie zakładałaby nad Lodowatym oceanem portu Władimira, który tylko od połowy czerwca do połowy września wolny jest od lodów. Jeśli zaś jest myśl zaboru kawałka Norwegii, to prawie niepodobna jej wykonać, nie mając kolei żelaznej, któraby szybko dowoziła wojsko i żywność, — trzeba bowiem pamiętać, że w tamtych stronach dzień i łagodne powietrze panują tylko przez cztery miesiące, potem zaś zaczyna się zmierzch ciągły i chłód, a w końcu noc nieprzerwana i okrutne mrozy. Więc w sto dni trzeba dokonać zaboru, a to jest niepodobieństwem, gdy się nie ma kolei, bo step lapoński ciągnie się ośmset kilometrów.

A zatem, widocznie Rosya przewiduje, że owoc jej długich usiłowań: rozdział Norwegii ze Szwecyą rychło nastąpi, skoro przystępuje do budowy „kolei Lodowatego oceanu".

W Konstantynopolu zdarzył się wypadek, który mocno poruszył tamtejsze sfery rządowe. Gdy uroczysta procesya wychodziła z ormiańskiej katedry, aby krużgankami obejść świątynię, jakiś dwudziestoletni Ormianin dał kilka rewolwerowych strzałów do patryarchy Aszykianca, lecz na szczęście nie zranił go. Gdy pierwszy wiadomo, pojedynczo działał, spisku nie było, lecz jeno wołał, że patryarcha jest złym duchem Armenii, przyczyną wszystkich nieszczęść narodu, albowiem z baszami żyje w przyjaźni i zmusza duchowieństwo do tępienia wszelkich objawów narodowego uczucia. Jednakże, jak zapewniają, jest to zupełna nieprawda. Ormianie pod względem religijnym dzielą się na prawosławnych i katolików. Otóż tych ostatnich jedynie odmiennym zamiarem i twórcą ciągły ferment rewolucyjny, podczas gdy drudzy wolą panowanie tureckie, niż inne. Stąd powstała nieprzyjaźń między prawosławnymi a katolikami. Zamachowiec widocznie należy do obozu ortodoksalnego.

Prasa berlińska ciągle się zajmuje przypuszczeniami co do zjazdu trzech cesarzy. Wolkische Zeitung pierwsza podaje informacye z wirtembergskiego dworu, spokrewnionego z rosyjskim, car mocno cierpi na wątrobę i dlatego zalecono mu podróż do Karlsbadu, gdzie prawdopodobnie odbyłoby się spotkanie z monarchami Austryi i Niemiec. Jednakże petersburska „najwyższa ochrona", która jest tam policyą, czuwającą nad osobami z panującego w Rosyi domu, orzekła, że w Karlsbadzie trudno tak odosobnić cara, żeby była wszelka pewność, że go nie spotka żadna niespodzianka. Zaniechano tedy myśli wycieczki do Karlsbadu, a do francuskich wód Vichy car absolutnie jechać nie chce i nie może. Więc podobno tylko prawdopodobieństwo jest zjazdu cara z Wilhelmem II, który podobno zamierza zwiedzić Finlandyę. Ten zjazd taki nastąpi w Helsingforsie. Jeśli zaś cesarz niemiecki nie pojedzie do Finlandyi, to zjazd nastąpi dopiero w jesieni, w Gdańsku lub Szczecinie, podczas podróży carskiej do Danii.

Tymczasem jedno jest pewne, że w połowie kwietnia, wracając z Abbazyi do domu, Wilhelm II będzie gościem naszego Cesarza w Schönbrunnie.

KORESPONDENCYE.

Kraków 31 marca.

Prastary gród nasz obchodził dziś uroczyście setną rocznicę złożenia przysięgi narodowi polskiemu przez bohatera z pod Racławic. Miasto całe przybrało się w świąteczne szaty; z gmachów miejskich i wielu domów prywatnych powiewały chorągwie o barwach narodowych i miasta, w wielu oknach wystawiono biusty Kościuszki, inne przystrojono dywanami i makatami. Na uroczystość ze wszystkich stron kraju przybyło bardzo wiele gości.

Uroczystość rozpoczęła się hejnałem odegranym na wieży maryackiej; o godzinie 6ej nasza „Harmonia", przybrana w mundury czwartego pułku piechoty z r. 1830, odegrała pobudkę w rynku i po ulicach miasta. O 8ej w ulicy Floryańskiej i w Rynku kleparskim począł ustawiać się pochód, który o godzinie $^{3}/_{4}$ 4 ruszył na Wawel. Otwierała go banderya Krakusów, dalej szła „Harmonia", cechy, szkoły, deputacye miast, Rad powiatowych, Kółek rolniczych itd., deputacye z wieńcami, Rada miejska krakowska, włościanie polscy i ruscy i nieprzebrane tłumy publiczności. Gdy pochód przeciągał przez Rynek, przed kościołem N. P. Maryi, z wieżycy maryackiej dały się słyszeć tony hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła". O godzinie $^{1}/_{2}$ 10ej pochód stanął na Wawelu. Komitet urządzający uroczystość, zszedł do grobów królewskich i tam u stóp sarkofagu Kościuszki złożył wieniec od narodu.

O godzinie 10 zaczęła się msza św; odprawił ją przed trumną św. Stanisława ks. kanonik Fox. Prześliczne kazanie zastosowane do uroczystości, wypowiedział rektor XX. Pijarów ks. Chromecki.

Po nabożeństwie pochód ruszył na Rynek do miejsca, w którem Kościuszko przed stu laty złożył przysięgę. Na miejscu tem postawiono pomnik, przedstawiający Kościuszkę z podniesioną do góry ręką, składającego przysięgę. Około pomnika utworzyły koło chorągwie cechowe, a po czterech jego rogach płonęły wielkie pochodnie gazowe. U stóp pomnika złożono mnóstwo wieńców.

Gdy pochód wchodził w Rynek, na wieży maryackiej trębacze zagrali pieśń „Serdeczna matko", a gdy ustawił się przed pomnikiem, połączone nasze Towarzystwa śpiewacze odśpiewały krakowiaka „Dalej chłopcy co żywo" i polonez „Patrz Kościuszko". Gdy pieśń przebrzmiała, wszedł na stopnie pomnika p. Skirliński, prezes Towarzystwa im. Kościuszki i wypowiedział zastosowaną do uroczystości mowę; przemawiał także wiceprezydent miasta dr. Pieniążek.

Następnie chór śpiewacki odśpiewał kantatę napisaną na uroczystość przez K. Ujejskiego, muzyka p. M. Swierzyńskiego. Po kantacie ozwał się hejnał uroczysty z Maryackiej wieży, a po nim chór znowu odśpiewał trzy pieśni narodowe. Na zakończenie wzniosła publiczność trzykrotny okrzyk „Niech żyje Polska".

Podczas całej uroczystości i pochodu panował porządek wzorowy; wszystkie sklepy były pozamykane.

O godzinie 3 po południu zrobiono wycieczkę na kopiec Kościuszki, gdzie deputacye złożyły wieńce i gdzie do zebranych tłumów przemawiało kilku mówców.

Wieczorem miasto całe zajaśniało morzem światła. Iluminacya wypadła prześlicznie. — Wieczornica w „Sokole" była wspaniała, przybyło na nią przeszło 500 włościan. Teatr, gdzie przedstawiano „Kościuszkę pod Racławicami", był przepełniony. Sztuka, wystawiona bardzo starannie, wielkie na publiczności zrobiła wrażenie. Podczas sceny przysięgi, wiele pań płakało, a jedna z nich obsypała kwiatami artystę, grającego rolę „Kościuszki".

Z żalem zaznaczyć muszę, iż dzisiejsza uroczystość, która odbyła się tak przyzwoicie, iż na zawsze wszystkim w niej udział biorącym jak najmilszem pozostanie wspomnieniem, zakłócił mały dysonans. Oto tłumy gawiedzi i uliczników, wyzyskujące zwykle wszelkie uroczystości do robienia awantur ulicznych, udały się w zaułki żydowskie na Stradomiu i Kazimierzu i tam w tych domach żydowskich, które nie były iluminowane, wybijały szyby. Wojsko i policya rozpędziły te tłumy; kilkanastu ekscedentów aresztowano.

Wiedeń 28 marca.

Młodoczesi przekonawszy się, że na byle jakich warunkach z rządem układać się nie można i wywnioskowawszy z oświadczeń pism półrzędowych, że chcąc rozpocząć takie ukła-

Z placu wystawy.

Blade marcowe słońce ukazało twarz swą z za góry Lwa i w tej chwili padł blask na płaskowzgórze stryjskie; złotymi oblane promieniami wyłoniło się fantastyczne miasto wystawowe. Pustkowie, pełne wykopów, wybojów i debr, omijane nawet przez śmiałych Rinaldinich lwowskich, z którego często do parku Kilińskiego strwożony szarak, a nieraz i zapędzony od wsi wilk zabiegał... pustkowie to wybrane hazardownie na teren wystawy, dziś, po roku bohaterskiego wysiłku, połyskuje szeregiem murowanych i drewnianych budowli konstrukcyi i stylów najrozmaitszych, nęci szerokiemi drogami i romantycznemi ścieżkami, zaprasza gościnnie pod cieniste werandy zdziwionego przechodnia, daje mu pokarm dla ducha i ciała w formie zawsze wykwintnej, daje wygodę, komfort, rozrywkę, podniosłe artystyczne wrażenia, słowem wszystko, czego zdrowy człowiek nowoczesny, a nawet najbardziej bezkrwisty, zblazowany schyłkowiec, zapragnąć może. Czyżto nie cud istny! Jałowy i nieforemny całokształt wzgórza (na 130 m. szerokości około 1000 m. długości), niepodobny niemal do plantowania, pozbawiony wszelkiej wegetacyi, której brak wobec sąsiedztwa uroczego parku tak rażąco odbijał, miał zrazu licznych przeciwników. „Zabijecie myśl wystawy i wystawę samą" krzyczano głosem Kasandry. Dziś, po roku, kiedy wizya stała się rzeczywistością, ci sami pesymistyczni prorocy razem z licznymi a wczesnymi przybyszymi z nad Wełtawy, Dunaju i Wisły, przyznają, że celniejszego wyboru miejsca zrobić nie było podobna, że piękniejszego widoku na sędziwy Lwów trudno sobie wymarzyć, że żadna z równorzędnych wystaw takiego terenu nie miała!

Kiedyśmy się raz przecie na jedno we Lwowie zdobyli, należy podnieść przysposobienia techniczne terenu. Zdjęcie wysokościowe uskutecznił prof. Widt, to jeszcze mniejsza. Ale dyspozycya wystawy czyli — mówiąc językiem techników — jej plan sytuacyjny, to już rzecz nielada. Stało się to drogą konkursu, na którym świetne odniósł zwycięstwo obecny główny inżynier wystawy hr. Łubieński. Plan jego okazał się najlepszym, konfiguracya placu najszczęśliwszą. Charakterystycznem znamieniem placu jest przeprowadzenie środkiem terenu szerokiej osiowej drogi, łączącej dawne *corso*, od parku stryjskiego odbiegające, z drogą na obrane płaskowzgórze od ulicy św. Zofii wiodącą. Na głównej drodze tej projektant wytworzył dwa centra w formie obszernych placów, ozdobionych basenem i fontanną świetlną *[lumineuse]*, a z nich, jakoteż w dalszym ciągu od samej drogi rozprowadził pomniejsze dróżyny, ścieżki itd., przy których dały się rozmieścić setki budowli. Pozostałe wolne miejsca otrzymały ozdobę ogrodowo-kwiatową.

O trudnościach, z któremi przy wprowadzeniu projektu tego się spotykano, wspominać dziś, gdy wystawa „stoi jak mur", byłoby za późno. Prosimy jednak nie zapominać, że dla wykonania nasypów i rozplanowania poruszono 50.000 metrów sześciennych ziemi. A dopiero utrwalenie skopanego gruntu (gliny), a kanalizacya całego placu, a ścieki, a zabezpieczenie urwisk dzikich itp.! Żelazna energia hr. Łubieńskiego podołała wszystkiemu. Koszt szalonych tych robót wyniósł z górą 50.000 zł.

Za dwa miesiące już otworzą się wrota wystawy. Właściwie należałoby być dyskretnym i nie zdradzać niespodzianek, ażeby podrażnić troszeczkę ciekawość publiczności, ale ponieważ dziennikarze od dawna już posiadają osobny przywilej na niedyskrecyę, dlatego pozwolimy sobie przejść się po wystawie, wynotować co ważniejsze szczegóły i podać je czytelnikom jako przedsmak tych wszystkich cudów, które zdumiony Lwów po raz pierwszy będzie oglądał nagromadzone w jednem miejscu. Wchodzimy zatem na plac wystawy i spotykamy przedewszystkiem pawilon dziennikarstwa. Bierze nas ochota pożartować nieco z tej smukłej willi, która niewątpliwie w Brzuchowicach dokona swojego żywota, ale na myśl, że tu a nie gdzieindziej wybrała sobie stanowisko czcigodna Akademia umiejętności, że wczoraj czy onegdaj upatrzył w niej miejsce dla swej arcyciekawej wystawy przybyły z Paryża delegat hr. Tyszkiewicza, że się tu znajdzie zbiór dzieł mickiewiczowskich, bez uśmiechu złośliwego wędrujemy dalej. Nieopodal szarzeje cieplarnia, w której ogrodnicy nasi pokażą wszystko, co mają najpiękniejszego. Obok panorama. Budowla to bijąca w oczy ogromem i prostotą formy. Ale to tylko bezpretensyonalna, konieczna osłona dla płótna Kossaka i Styki, Popiela i Bollera, które dziś już obwołano w swoim rodzaju arcydziełem. Panoramę zakryją nieco pawilony arcyksięcia Albrechta (dobra żywieckie) oraz hr. Mierowej.

Minąwszy te budynki widzimy przed sobą na osi drogi głównej obszerny plac z basenem i wodotryskiem. Jest to pierwsze centrum wystawowe. Plac ten okalają w opisanej eliptycznej formie najważniejsze budynki, więc: gmach przemysłowy, pałac sztuki, żelazny pawilon matejkowski, pawilon architektury, miasta Lwowa oraz pawilony szkolne, niemniej liczne prywatne budowle. Gmach przemysłowy, „serce wystawy", stojący na wznoszącej się łagodnie, zgrabnie założonej rampie, jest najobszerniejszą budowlą, zajmującą około 3.500 m. kw. Mimo to okazała się ona za szczupłą! Na ostatniem posiedzeniu dyrekcyi postanowiono budowlę tę rozszerzyć o 540 m. kw. Między innemi pomieści się tu 24 interieurów stolarskich i tapicerskich, oraz organy p. Śliwińskiego. Gmach, konstrukcyi drzewnej, planu nadinżyniera Skowrona, zasłużonego architekta Wystawy przedstawia się imponująco. Założony w formie litery E ma efektowną partyę środkową, której oryginalna dekoracya przyda niemało krasy. Bogata polichromia zewnętrzna i wewnątrz pod kierunkiem przewodniczącego wydziału budowlanego prof. Zachariewicza fortunnie postępuje. Koszt 60.000 zł.

Pałacem sztuki zajmowano się dotąd najgoręcej. Dyskretne, spokojne rozwiązanie w stylu renesansu włoskiego (projektował nadinżynier p. Skowron), odpowie niewątpliwie celowi a monumentalna ta budowla sumptem 90.000 zł. wzniesiona stanie się ozdobą Lwowa. Przewodniczący działu sztuki i starożytności jest już do swej kampanii znakomicie przygotowany. W pierwszych dniach kwietnia zacznie się rozpakowywanie obrazów. Nazwisko Łozińskiego mówi tu samo za siebie; oświetlenie będzie niewątpliwie wyborne, skoro tak wymagający artyści jak Brandt i Czachórski zgodzili się umieścić swoje obrazy. Pawilon architektury w stylu czysto-greckim, jako kombinacya świątyni jońskiej z dorycką, obie systemu *amphiprostylos*, na wzniesieniu sztucznem, okolony laurami i palmami, będzie niewątpliwie perełką placu. Akroterya, wiktorya i sfinksy podniosą wrażenie pięknej całości; malatura wnętrza zapowiada się przepysznie. Obok prac architektów naszych urządzoną tu zostanie wystawa własna hr. Potockiego z Buczacza, podobno bardzo bogata. Lekki, szykowny, uśmiechnięty jest pawilon m. Lwowa. Charakterystycznie odcina się pawilon p. Götza, w którym architekt Pryliński schwycił starogdański motyw. Poważnie przedstawi się pawilon Matejkowski (znów plan nadinżyniera p. Skowrona) a kępa gęstych drzew oddzieli go od ekscentrycznego pawilonu polsko-amerykańskiego z nieodstępnym *saloonem*, w którym murzyni szynkować będą *brandy* i *whisky*. Budynki szkolne gotowe, zwłaszcza ponętny środkowy namiestnika hr. Badeniego, gdzie ustawiono już nawet gabloty. Po raz pierwszy popisujące się szkoły przemysłowe przygotowują się z zapałem do wystawy. Tu też umieści się głośny bakteryolog dr. Bujwid. Pawilon krzeszowicki znacznie postąpił, pawilon dóbr pomorzańskich (gotyk) odsłoni się również dnia 1 czerwca.

A teraz drugie centrum wystawowe. Podmurowanie pod fontannę świetlną oczekuje na dekoracyę dłuta prof. Marconiego. Wieniec restauracyi, kawiarń i lóż gastronomicznych odzywa się tu wymownie do duszy smakosza. Około sali koncertowej, którą opiekuje się troskliwie prezydent Tchórznicki, krzątają się pospiesznie. Malowanie gustowne wnętrza także pędzi galopem. I pomyśleć, że tu rozlegać się będą słowicze dźwięki Kochańskiej, Hellerówny, Kamiłowej, Mierzwińskiego, Bandrowskiego, Floryańskiego, może i Reszków, upajające tony z pod palców Paderewskiego, Hoffmana Barcewicza. Kolosalna konstrukcya żelazna halli maszyn wprowadza w zdumienie Lwowianina. „To naprawdę Europa", — cedzi rozradowany, nie wiedząc, iż uchwalono właśnie dobudować do halli tej *annex* drewniany, ażeby zadosyć uczynić licznym zgłoszeniom.

Pawilony: sanitarny, pocztowy, kotłownia, drobnych motorów i pawilon ministerstwa skarbu rosną szybko. Ostatni ma być z przepychem uposażony. Nasi galicyjscy Amerykanie... nafciarze, idą w bój ostatni, ale po swojemu. Pierwsza wystawa naftowa będzie podobno naprawdę pierwszorzędną. Dział leśnictwa i łowiectwa budzi najpiękniejsze nadzieje. Zabudowania potoków górskich pociągają malowniczością. Boisko dla „Sokołów", straży ogniowych i cyklistów olbrzymie. Posłuży też ono za arenę dla najrozmaitszych popisów. Strzeliła również w górę charakterystyczna wieża wodna, niby baszta średniowiecznego zamczyska. Oprawował ją według pomysłu prof. Zachariewicza młody architekt p. Łużecki. Tu koncentruje się doniosła kwestya wodna. Wydobywana ze studzien pobliskich w Zofiówce (wedle orzeczeń fachowych bardzo dobra) woda rozprowadza się sposobem mechanicznym za pośrednictwem rezerwoaru na owej właśnie wieży. Idzie tu ani mniej ani więcej jak o 400 metrów kubicznych wody dziennie! Spora to zaiste ilość, a przecież fachowcy uważają ją za *minimum* z uwagi na konsumcyę wody przez kotły, rozmaite maszyny, fontanny, zbiorniki, oraz na skrapianie ulic, na zaopatrzenie dziesiątków restauracyi, kąpieli, fabrykacyę sztuczną lodu i t. p. Szkic byłby niedokładny, gdybyśmy zapomnieli o wytwornym szczególe wystawy: pawilonie rolnictwa pomysłu p. Dobrowolskiego.

Brak miejsca nie pozwala nam na wyliczenie mnóstwa innych prywatnych budowli, rozpoczętych lub bliskich kresu, podnoszących się z ziemi i wykończanych ostatnim rzutem pędzla. Z tysiąca rąk złożona armia robotnicza pracuje tutaj od wczesnego rana do zmroku rozpraszanego światłem sztucznem. A obok w parku zakładają fundamenta pod akwaryum, stroją cerkiewkę górską, kurną chatę huculską, chaty: podolską, zakopańską i mazurską, dworek staroszlachecki na pomieszczenie wspaniałej wystawy etnograficznej oraz pawilon dla „pracy kobiet", które setkami okazów wołają: „Jesteśmy!"

Tak. Południe dnia uroczystego bliskie. Daj Boże, aby to wedle programu była „data zaszczytna" i historyczny krok w pochodzie „do światła i siły." Ażeby jednak „nowe miasto", miasto wystawowe inaugurowało powstanie swoje tryumfalnie, ażeby tysiące, krocie ciągnące szlakiem zbudowanej umyślnie elektrycznej kolei, wracały na padół lwowski z żywem ukontentowaniem, potrzeba pomocy „starego miasta", pomocy Lwowa. Niech się poczciwy, niesłusznie o kosmopolityzm pomawiany gród nasz upiększy, odświeży, odmłodzi, niech na siebie schludną przyjmie szatę, a ramiona swoje gościnnie gościom z całej Polski i krajów sąsiednich otworzy. Wówczas każdy łatwo uwierzy, iż „miłość kraju dzieło wystawy poczęła a honor i pożytek były hasłem pracy nad jego szczęśliwem wykonaniem." Obyż płodny w owoce, niezapomniany był „rok wystawy!"

dy trzeba by im otwarcie porzucić drogę buntów i żądań niemożebnych, odwołują teraz uroczyście wszelkie wiadomości, jakie podawały pisma czeskie i niemieckie o ich skłonności do ugod.

Jakby dla stwierdzenia swych zamiarów prowadzenia odtąd nieubłaganej opozycyi, rozwinęli młodoczesi w ostatnich dniach znowu żywszą czynność. Socyalistyczne „Omladiny" zebrały się na wiec, który został wprawdzie rozwiązany z powodu uchybień formalnych, ale za to też nie mało nastręczy sposobności do interpelacyi i zażaleń. Syn posła Sokola, Karol Stanisław Sokol, który w procesie przeciw Omladinie skazany został na dwa lata więzienia, doczekał się w Łomnicy obok Jiczyna niesłychanych owacyi. Przyjechał tam na zgromadzenie ludowe. Przed ratuszem powitała go deputacya rady gminnej; na zgromadzeniu Sokol przemawiał w sposób tak drażliwy, że komisarz rządowy musiał kilka razy interweniować i zagroził rozwiązaniem zebrania. Wieczorem odbyło się w teatrze miejscowym uroczyste przedstawienie na cześć tego młodoczeskiego agitatora. Chciano jeszcze w tryumfalnym pochodzie odprowadzić go na dworzec i tam nową urządzić demonstracyę, ale starostwo zawczasu zebrało żandarmeryę i zapobiegło awanturom.

W Morawii (w Misiku) zdawał znowu przewódzca tamtejszych młodoczechów dr. Stránsky sprawę z dotychczasowej czynności swego stronnictwa. Wedle jego wywodów klub młodoczeski stoi i stać będzie na stanowisku prawa państwowego, demokracyi i wzajemności słowiańskiej. Wszelkie osłabienie idei prawa państwowego byłoby klęską dla całego obozu młodoczeskiego, a tem samem i dla całego narodu. Młodoczesi wcale nie mają powodu do cofania się i uniewinniania przed zarzutami radykalizmu. Owszem winni oni na siebie przyjąć odpowiedzialność za „Omladinę", która bezsprzecznie jest spokrewniona ze stronnictwem młodoczeskiem. Kto temu przeczy, jest tchórzem i hypokrytą. Młodoczesi nie potrzebują się wahać powiedzieć to otwarcie, gdyż są dość silni i wytrwali, by się nie lękać wstrząśnienia. Celem najbliższym młodoczechów wedle słów p. Stránsky'ego — jest obudzenie wzajemności słowiańskiej i stworzenie związku stronnictw słowiańskich. O związku narodów słowiańskich nie może być mowy, póki się one wzajemnie uciskają. Taki związek jest utopią.

Z czyjej właściwie winy jest utopią, nie powiedział dr. Stransky, nie powiedział też, jak sobie ten związek słowiańskich narodów układa. Czy może Polacy mają się oddać carosławiu i czy mają przyjąć język ruski?

Dziwna rzecz jednak, że młodoczesi, którzy są tak otwarci w kwestyach swego stosunku do Niemców, swoich planów korony morawsko-śląsko-czeskiej — nigdy jeszcze dotychczas nie zdobyli się ani na jedno szczere zdanie o reklamowanej tylekroć wzajemności słowiańskiej. „Założna" i inne banki czeskie wysyłają kapitały dość znaczne do północnych Węgier celem popierania Słowaków w ich walce z madyaryzacyjnemi wpływami i celem zyskania ich dla czeskiej kultury i czeskiego języka. Możeby też zechcieli raz młodoczescy agitatorowie podjąć tę kwestyę poważnie i wprost Słowakom zacząć mówić i powiedzieć słusznie, czy tylko przez czeski język prowadzi droga do prawosławia i cyrylicy? Komuż młodoczesi myślić chcą oczy swojemi sympatyami słowiańskiemi? Którym narodom słowiańskim mają wierzyć i w jakiem względzie powinowactwa szczeropowego, kiedy oni sami rzucają się z taką nienawiścią na wszystkie obozy swojego własnego narodu? Czy pokrewieństwo Słoweńców i Kroatów z młodoczechami i interes tych południowych Słowian więcej zaważą, niż pokrewieństwo ze staroczechami i szlachtą czeską?

Niezgrabna bajka o wspólności interesów słowiańskich musi sama przez się upaść wobec faktu, że nie ma wspólności interesów między samymi Czechami. Już to najmniej młodoczesi ze swoją uliczną krytyką o takich mężach jak Rieger i Randa powołani czuć się mogą do tworzenia grup opartych na wzajemności słowiańskiej. Co najwięcej w swym głupim radykalizmie stać się oni mogą progiem, po którym wstąpi agitacya moskiewskich zbawców Słowian do Czech. Nie na wzajemności plemion słowiańskich, ale na wzajemności radykałów wszelkich obozów opiera się obóz młodoczeski. Z zabawną naiwnością oświadczył dr. Stransky, „że potrzeba stworzyć koalicyę celem przekształcenia Austryi na podstawie słowiańskiej kultury." Cóż pocznie ten młodoczeski transformator Austryi z Niemcami?

A jaka to będzie kultura specyficznie słowiańska? Dziś, kiedy wymiana myśli w całej Europie doszła do niesłychanego rozwoju w państwie tak wielkiem i tak różnorodnem jak Austrya, gadać o jednolitej kulturze jest nonsensem — młodoczeskim. A że pod kulturą tą nie rozumie żaden młodoczech swobodnego rozwoju języka, na co każdy w granicach narodowości swej zgodzićby się musiał, że przez kulturę tę rozumie się chyba program młodoczeskiego obozu, tego dowodzi choćby odrzucenie przez dra Stránsky'ego zaproszenia staroczechów „aby się młodoczeska partya ludowa" w Morawii związała z nimi. Przyjęto na zgromadzeniu to odrzucenie hucznemi pochwałami i wyklinaniem wszystkich staroczechów.

Nie zawadzi wspomnieć jeszcze, że i na wiecu socyalistycznym mówiono o młodoczechach. Jeden z delegatów czeskich robotników z Pragi (Regner) oskarżał młodoczechów, że zajmują się pilnie demagogią. Żądają powszechnych wyborów tylko pozornie, chcąc zyskać sympatye robotników. W gruncie rzeczy jednak los klasy pracującej jest im zupełnie obojętnym i używają jej oni tylko jako szczebla do dojścia władzy. Młodoczesi zaczynają uczuwać, że się wyczerpali i że gotowi są i dojrzali do upadku zupełnego.

Z Rzymu.

Gazeta Kościelna otrzymała następujący list: „Prochbym językiem zlizała na drodze, po którejby Ojciec święty wrócił do panowania nad Rzymem" — tak mi mówiła dzisiaj Rzymianka, wdowa, u której znalazłem pomieszkanie. „Dawniej o biednych pamiętał Ojciec św. i każda pobierała choć małą zapomogę. Dzisiaj nikt się o biednych nie spyta. Jeżeli komornego nie ma czem zapłacić, wyrzuci właściciel na ulicę, chociaż posiada miliony i nikt nie pomyśli o tem, żeby mnie poratować. Mianowicie Pius IX. miał zawsze rękę otwartą i po rewolucyi 1848 r., skoro do Rzymu wrócił, od razu poczuliśmy, co znaczy panowanie papieskie. Teraz z też tem lepiej czujemy jego stratę. Na co nam się przyda jedność Włoch i cała ich wielkość, kiedy zarobku nie ma, a jeśli kto pracę znajdzie, daremnie czeka zapłaty".

Takich narzekań może się nasłuchać, kto chce, na każdym kroku i nie potrzeba być wielkim politykiem, aby zrozumieć, że lud wszystek to samo czuje i myśli, chociaż nie zawsze mówi, bo się boi.

Rzekłbyś, dwa światy tutaj istnieją: jeden oficyalny, pyszny i buńczuczny, który całą nędzę swoich rządów stara się pokrywać różnemi sztuczkami, — drugi pozbawiony praw i własności, ale cierpliwy — bo wierzący, czeka spokojnie końca. Doczekał się też już początku końca, bo skoro rząd kuponów nie płaci, poczyna tracić najlepszych przyjaciół, żydków, których wiedeński organ główny *Neue Freie Presse*, pioruny miota na całą finansową włoską gospodarkę. Aby wylegitymować zabór Rzymu przed uczonym światem, poczęli „zjednoczeni Włosi" czynić różne archeologiczne poszukiwania. Rozkopali n. p. *Forum* i chwalą się, że w kilku latach więcej odkryli, niż Papieże przez wieki, nie mówiąc nic, że Papieże uratowali wszystko, bo bez nich *forum* wcaleby dzisiaj nie istniało. Rozkopali *arenę* w Colosseum, — wyrzuciwszy krzyż i stacye męki Pańskiej, i chełpią się z odkrycia akwoduktów; nie mówiąc nic o tem, że Papieże uratowali całe Colosseum, i że bez nich, aniby śladu nie było z tego wspaniałego zabytku pogańskiej i chrześcijańskiej przeszłości.

Kiedym już o Colosseum zawadził, pozwólcie, że do osobistych przejdę wrażeń. Nic bowiem nie czyni na mnie takiego wrażenia, jak ten kolos olbrzymi, w którym 85 tysięcy ludu przyklaskiwało śmierci św. męczenników chrześcijańskich, mianowicie jeśli go można oglądać wieczorem przy pełni księżyca. Wyłomy i szczerby w murach pokrywają cienie nocy, a srebrne światło księżyca, lejące się przez olbrzymie arkady i otwory, nadaje temu miejscu dziwny, niewysłowiony urok.

Na nieszczęście, od chwili mego przybycia deszcz nam przeszkadzał i dopiero w wielką środę pod wieczór wypogodziło się niebo. Pośpieszyliśmy tedy do Colosseum. *Salvete Christi Martyres!* — zawołaliśmy, wchodząc przez olbrzymi portyk główny, aż policyant który stał, o mur oparty, wyprostował się i salutował. Naprzeciwko dawnej loży cezarów i westalek jest doskonałe miejsce, z którego można okiem objąć główną część całego gmachu. Na prawo jest drugi wielki portyk. Tędy wprowadzono św. Ignacego Patryarchę Antiocheńskiego, w czasie luperkaliów i tutaj pożarły go zwierzęta. Tędy wchodziły sta i tysiące chrześcijan, aby krew przelać za wiarę chrystusową, a tłum kilkudziesięciotysięczny, co przyklaskiwał śmierci tych, których zwał: *odium generis humani,* — ani przeczuwał, że ich śmierć zgotuje zwycięstwo wyszydzanej religii Chrystusa.

Któżby tu nie pragnął godzinami siedzieć i rozmyślać nad tą przeszłością, która uczy, że bez ofiary i poświęcenia, nie ma zwycięstwa żadnej dobrej sprawy! Wtem, zbudził nas z tych marzeń śpiew jakiś, pomiędzy ruinami i to śpiew niemiecki. A że nas było kilka osób, więc wzięliśmy sobie to do serca i stanąwszy pod arkadami, zaczęliśmy śpiewać „Boże coś Polskę". Zaledwie pierwsze tony rozbiły się o sklepione arkady, gdy w tem po za nami inna gromadka Polaków przyszła nam w pomoc i połączone głosy nasze tem silniej poczęły rozbrzmiewać po załomach murów, które niegdyś odbrzmiewały głosami ciemiężycieli całego świata i wszystkich ludów. Łatwo zrozumieć, że w takich okolicznościach tem serdeczniej się wita dobrych znajomych, skoro się przy wspólnym śpiewie na takiem miejscu spotkają. A że to i Wasi znajomi, więc ich tu wymienię: był starosta Link ze Lwowa z rodziną, prof. Morawski Kazimierz z Krakowa, z rodziną i młodymi kilku panami z Królestwa których może lepiej nie wymienić, był ks. Łabaj z Krakowa i niżej podpisany.

Dzisiaj, kiedy to piszę, Ojciec św. odprawił mszę św. w *Sala ducale.* Przeszło tysiąc osób otrzymało wstęp na salę, aby widzieć Ojca św. i otrzymać błogosławieństwo z rąk jego. Niektóre tylko osoby miały pozwolenie przyjmowania komunii św. z rąk Papieża, bo trudno żądać, żeby wszystkich komunikował. Tysiące innych przybyłych do Rzymu byłoby pragnęło go widzieć. Dawnemi czasy błogosławił Papież w wielki czwartek i w dzień dzisiejszy z loggii kościoła św. Piotra. Teraz nie pokazuje się publicznie. Przez to samo ubyło cudzoziemców, których dawnemi czasy przybywało tu na Wielkanoc do 80 tysięcy, a łatwo obliczyć, jaki zysk mieli Rzymianie z takiego mnóstwa cudzoziemców. Więc nie dziw, że rząd stara się wszelkiemi sposobami to powetować i tem się tłómaczą te częste zjazdy, które tu urządzają. Teraz urządzono tu także kongres medyków, który się zapowiada różnymi festynami, a król osobiście ma uczestniczyć w jego otwarciu. Dobrze, że sam się pokaże, bo z przybyłych nie każdyby pewnie pragnął go widzieć. Przynajmniej nie ma jeszcze przysłowia, któreby mówiło: być w Rzymie a króla nie widzieć — tylko zawsze jeszcze przysłowie mówi o Papieżu i Rzymie, bo Rzym chociaż zabrany, ma właściwego pana w tym, który zamknięty w Watykanie mówi: *haec est hora vestra et potestas tenebrarum.*

Pisać z Rzymu, a nie mówić o osobie Papieża byłoby błędem nie do darowania. Ale ja wolę cały list przyszły poświęcić jego osobie. Dzisiejszy niech będzie tylko wstępem do przyszłego. Życząc wam wesołego Alleluja, wspomnę tylko o encyklice *Caritatis ad episcopos Polonos,* wydanej przed dwoma dniami t. j. w wielki piątek, datowanej z wielkiego poniedziałku. Ta wielkotygodniowa encyklika, wydana do biskupów narodu, który stuletni wielki post przebywa, oby była zapowiedzią wesołego Alleluja dla nas wszystkich. Ks. *Chotkowski.*

MAŁY FELJETON.

Kelner.

Frak, kamizelka biała lub czarna i serwetka na ramieniu. Poprawny we wszystkiem. Gors koszuli dość biały, w dziurkach spinki wszystkie, a nieraz i złote, włosy starannie utrzymane i twarz starannie wygolona. Poważny i o ile można pamiętający o przysłowiu, które nazywa mowę srebrem, a milczenie złotem. Jest obserwatorem i potrafi po zachowaniu się gościa, po układzie *menu,* po drobniutkich szczegółach toalety, zaliczyć go do odpowiedniej klasy społecznej, zaznacza te swoje spostrzeżenia nieraz, ale przy pomocy odcieni tak subtelnych, że nikt ich nie chwyta i przepadają one dla świata. Zbyt jednak szanuje swój fach, aby nie umiał ukryć w głębi duszy szyderstwa i lekceważenia, jakie ma dla parweniusza, chcącego użyć świata, — i obstalowującego sobie „*naprzód* kuropatwę z kompotem a *potem* majonez z łososia". Co najwyżej, nie zważając na polecenie poda naprzód majonez, a potem kuropatwę. Obsługując sześć osób przy jednym stole ani razu nie przemieni potrawy. Podając rachunek, oddala się, aby nie być obecnym przy najważniejszym dla niego akcie: położeniu napiwka na tacy. Czeka na was przy drzwiach, aby je otworzyć z grzecznym, ale nie uniżonym ukłonem i które otwiera bez względu na to, czyście okazali się hojni lub skąpi. Napiwki są zresztą zazwyczaj sute i garson ma się nieźle. Jeżeli nie pije, zbija po trochu kapitalik, marząc o założeniu restauracyi na własną rękę.

* * *

A teraz inny typ. Restauracya trzeciego lub dalszego jeszcze rzędu. Kelner we fraku — ale jakim fraku! z szeroko odsłoniętym u koszuli gorsem! — ale jakim gorsem. Jakże chętnie wolelibyście go widzieć w skromnej kurtce, jakie noszą chłopcy w cukierniach, niż w tej marnej parodyi szyku. Frak poplamiony mniej więcej, leży na kelnerze już to jak płaszcz, już to odsłania mu mankiety do niemożliwej wysokości. Często jest w złych stosunkach z gospodarzem restauracyi, który go wyzyskuje i do uszu gości dolatują obfite sprzeczki, nieraz kłótnia o to, czy kelner „zamarkował dwie wódki" czy nie. I nawymyślawszy nieraz po grubijańsku gospodarzowi zwraca się za chwilę do gościa z tym denerwującem spieszczaniem rzeczowników: „cielęcinka z kartofelkami, czy schabik z buraczkami" — „jedno piwko, w tej chwili." Z klientelą nie może się zżyć ani jej poznać, bo jest to błędny rycerz serwety. Ciągle zmienia restauracye jedną po drugiej, aby dojść do przekonania, że „im bardziej się zmienia, tembardziej jest to ciągle to samo". Bywa często bez miejsca, często bez mieszkania i sypia jak może i gdzie może. Przedstawia się też gościom jako istota niewyspana i z zaczerwienionemi oczami. Do swojego fachu w tych warunkach nie może mieć zamiłowania i mniej lub więcej nienawidzi tych, którym usługuje. Nie trzeba też go zbyt naciskać, aby pokazał, iż umie być zuchwałym. Przy wydawaniu reszty nie myli się, przyzwyczajony jest bowiem do klienteli, która liczy wydane pieniądze, — chyba, że goście są pod dobrą datą. Gdy nie otrzyma napiwku, ignoruje gościa całkowicie; przy jednym szóstaku mówi „dziękuję" nie poruszając głową; przy dwóch — kłania się i podaje palto; przy trzech — zgina się w pół i odprowadza aż do drzwi. Te szóstaki zresztą nie stanowią dla niego — jak dla jego kolegi arystokraty w restauracyi pierwszorzędnej, — o przyroście ciułanego kapitaliku, ale są wprost kwestyą bytu. Niepewna i godna politowania egzystencya, która utrzymuje człowieka twardą ręką na nizinach moralnych.

KRONIKA.

Lwów 2 kwietnia.

Mianowania. Lwowski wyższy sąd krajowy zamianował oficyała Ignacego Kruszyńskiego, adjunktem urzędów pomocniczych sądu krajowego we Lwowie.

Docent geologii w uniwersytecie lwowskim, dr. Józef Siemiradzki, otrzymał tytuł nadzwyczajnego profesora.

Przeniesienia. Dyrekcya poczt i telegrafów przeniosła kasowego kontrolera, Józefa Greisa, z Tarnopola do Kołomyi.

Uroczysty wieczór ku uczczeniu pamięci Kościuszki, urządzony przez lwowski oddział Towarzystwa pedagogicznego, odbył się wczoraj w sali ratuszowej. Wieczorek wypadł bardzo dobrze. Słowo wstępne wygłosił p. dyrektor Łucyan Tatomir, poczem nastąpiły wyborne produkcye muzyczno-deklamacyjne, wykonane przeważnie przez członków Koła śpiewackiego nauczycieli. Sala była przepełniona publicznością.

Honorowe obywatelstwo nadała Rada gminna m. Kut burmistrzowi p. Józefowi Soroczyńskiemu i staroście z Kossowa p. Hipolitowi Sabatowi.

Zmiana własności. P. S. Białobrzeski ze Szkła nabył dobra Brusno nowe, położone w powiecie cieszanowskim, obejmujące obszaru 1022 morgów od p. Emilii Zezulkowej.

Nowy kościół. W Łańcucie wzniesiony będzie nowy kościół parafialny kosztem 150 000 złr., obliczony na pomieszczenie 4000 osób i kaplicy grobowej rodziny Potockich. Na czele komitetu stoi proboszcz łańcucki ks. Emil Zauterer. Budowa kościoła rozpocznie się w r. b.

Pożar. W sobotę wybuchł pożar w Meteniowie pod Zborowem i zniszczył do szczętu przeszło sześćdziesiąt domów. Około 100 rodzin jest bez dachu i chleba.

Na Chorążczyźnie od zimy jeszcze nie skropiono ani razu żadnej z ulic tej dzielnicy, wskutek czego obecnie, gdy błoto podeschło, panuje nieznośny kurz. Mieszkańcy tamtej części miasta proszą nas, ażeby na ten fakt zwrócić uwagę magistratu.

Ku czci Franciszka Karpińskiego. Grono obywateli obwodu stanisławowskiego, dbałych o cześć zasłużonych mężów naszej przeszłości, powzięło zamiar wzniesienia kościółka w Hołoskowie, miejscu rodzinnem poety Franciszka Karpińskiego.

Myśl szlachetna znalazła poklask w szerokich kołach naszego społeczeństwa, które nigdy nie ociąga się z pomocą, choćby skromną, ilekroć chodzi o myśl zacną i patryotyczną.

Komitet pragnąc przysporzyć funduszów potrzebnych do urzeczywistnienia powziętego planu uprosił dyrektora V gimnazyum p. Próchnickiego o wygłoszenie odczytu o Karpińskim, który się odbędzie w pierwszych dniach kwietnia. Rozgłośne imię prelegenta, zaszczytnie znanego z prac literackich i cel szlachetny, na który dochód z odczytu jest przeznaczony, zachęci niewątpliwie każdego, komu pamięć „poety serca" jest drogą, do spędzenia jednego wieczoru w sposób pożyteczny i przyjemny.

„Pieśń uroczysta" na chór męski (a capella), utworu St. Niewiadomskiego, którą wykona we środę dnia 4 b. m. w czasie obchodu kościuszkowskiego „Lutnia" wieczorem w „Sokole," a „Echo" rano w sali ratuszowej, ukazała się już w druku nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza i jest do nabycia wraz z głosami. Utwór ten poważny, a zarazem melodyjny i śpiewny, oparty jest na popularnym motywie Poloneza kościuszkowskiego, daje się jednak tak ze względu na tekst (K. Ujejskiego), jak na muzykę do każdej uroczystości narodowej zastosować.

Obchody kościuszkowskie. Ze Starego Miasta nam piszą 31 marca: Staraniem tutejszej Rady powiatowej odbyła się wśród najpiękniejszej pogody w naszym ubogim zakątku uroczystość ku uczczeniu Kościuszki.

Z brzaskiem dnia zainaugurowały salwy z moździerzy i pobudka kapeli tutejszej straży ogniowej pamiętną narodową uroczystość. W licznym zastępie zgromadziły się potem wszystkie stany naszego powiatu w tutejszym kościele parafialnym na nabożeństwo, po którego ukończeniu udało się mnóstwo osób na odczyt do szkoły ludowej pod przewodnictwem czcigodnego marszałka tutejszego powiatu p. Kazimierza Bielańskiego. Pod gołem niebem wygłosił odczyt o nieśmiertelnych zasługach Tadeusza Kościuszki p. dr. Tadeusz Wąsowicz, za który ogólne uznanie i dzięki nasze sobie zjednał. Zaś wieczorem na zakończenie uroczystości odbyła się rzęsista iluminacya, strzelanie z moździerzy, tudzież pochód z pochodniami przy muzyce.

Bardzo gustowną dekoracyą odznaczał się dom rady powiatowej, dzięki trudom drogomistrza naszej rady powiatowej p. Proroka. Z zadowolnieniem podnieść musimy też, że żydzi staromiejscy wzięli bez wyjątku udział w iluminacyi i do programu tej uroczystości narodowej ściśle się zastósowali.

Ciekawy rachunek teatralny. Kiedy niedawno temu na porządku dziennym była u nas sprawa koncesyi na cyrk Sidolego, były dyrektor teatru oświadczył, że na wypadek udzielenia takiej koncesyi byłby zmuszony zwinąć dział operowy, który i tak z wielkim trudem utrzymuje. Mamy właśnie przed sobą urzędowe daty o miejskim teatrze w Kijowie, gdzie mimo obecności cyrków opera istnieje i nie grozi wcale ruiną teatrowi. Bardzo więc zajmujące będzie zestawienie poszczególnych pozycyi teatru kijowskiego z naszemi, dla pokazania, czem była w istocie owa groźba konieczności zwinięcia opery, oraz jak ten dział wygląda w innych teatrach.

Przedewszystkiem zaakcentować trzeba, że gdy nasz teatr pobiera 30.000 subwencyi Wydziału krajowego i magistratu, teatr kijowski rozporządza tylko subwencyą rządu w kwocie 3000 rubli rocznie. Honorarya artystów są w porównaniu z naszemi olbrzymie. Znajdujemy tam miesięczne pensye śpiewaków wynoszące 3.700, 2.600, 2000 rubli, podczas gdy u nas pierwszy tenor p. Myszuga pobierał 1350 złr., a inni artyści, wyłącznie młodzi, i rozpoczynający karyerę, po 100, lub 150 złr. Balet, złożony z 5 tancerek i 5 tancerzy, kosztował w teatrze kijowskim w ciągu pół roku 5610 rubli; u nas baletu wcale nie ma. Chór, złożony z 23 kobiet i 25 mężczyzn, kosztował w teatrze kijowskim w ciągu pół roku 12,600 rubli; lwowski chór składa się z 16 kobiet, 14 mężczyzn i kosztuje półrocznie około 3600 złr. Orkiestra kosztowała w Kijowie 19 530 rubli i złożona była z 47 osób; we Lwowie w skład orkiestry teatralnej wchodzi około 25 osób. Statyści opery kijowskiej tworzą półrocznie rubrykę 600 rubli, u nas w tym samym okresie czasu wydano na ten cel około 250 złr. W Kijowie wystawiono w jednym sezonie cztery nowe opery, a mianowicie „Neron", „Pajace", „Morjak" i „Samson i Dalila"; u nas wystawia się w jednym sezonie „Cavalerię", w drugim „Pajace" i manewruje się temi dwoma operami w nieskończoność, tak, aby jeszcze za rok od pierwszego przedstawienia uchodziły za nowość. Tyle specyalnie co do działu operowego.

Niemniej zajmujące są cyfry, odnoszące się do dramatu. I tak dramat kijowski posiada w swoim składzie artystów, którzy pobierają pensye miesięczne po 1000, 700, 600, 550, 500, 450, 400, 300, 250 rubli, gdy u nas najlepsi artyści, jak pp. Żelazowski, Fischer i Woleński, biorą miesięcznie od 400 do 200 złr., po za niemi zaś wszyscy inni zadowalniają się pensyą od 50 do 150 złr. Honorarya wypłacone autorom wyniosły w Kijowie 2391 rubli, u nas takiej sumy nie wypłacono za całe czterolecie byłej dyrekcyi. W bilansie teatru kijowskiego jest osobna pozycya na karety dla artystów i artystek, u nas artyści do teatru i na próby chodzą piechotą, a w najlepszym razie

---

66)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

(Ciąg dalszy).

— Bóg mówił do mnie, przez moje własne usta, słowami, których Egipcyanie nie rozumieli. Ale pewną nie byłam, ufną całkiem nie byłam; wahałam się, wątpiłam, bo pamiętałam zawsze to, co mnie moc jakaś w usta włożyła, a wiedziałam, że naczynia wyroczni bożych bywają porażone niepamięcią i padają omdlałe, wymówiwszy swoje słowa. A ja nie mdlałam, ja pamiętałam, aż tu mnie porwał szał wielki przy tobie Diomedoncie i teraz wiem, że bogowie przemawiają przezemnie, a tylko dlatego nie porażali mnie dotąd wielkim szałem zapomnienia, bo przezemnie mówili do mnie, dla mojej pociechy i trzeba było, abym zapamiętała słowa pomsty, słowa gniewu, słowa rzezi, słowa klątwy, których nikt zresztą nie rozumiał.

Elpinoe umilkła znowu na chwilę. Ślady szału zeszły z niej już ze wszystkiem, zsunęła się spokojnie ze stołu i stanęła na posadzce. Stanąwszy na ziemi, spytała się:

— A jakiż to bóg mówił przezemnie? I jakie wydałam wyroki?

— Mówiłem ci już, że Pallas Atene stała się podobną do ciebie, że jej wypowiadałaś wyroki. A mówiłaś o zemście i gniewie, o czynach krwawych i bojowej zamieszce; przyrzekała nam bogini, że odda w nasze ręce czarne, tłuste role Egiptu i skarby nieprzebrane Faraona. Obiecywała, że powrócimy z chwałą na wybrzeża ojczyste, szumnem otoczone morzem. Ale jeden postawiła warunek, którego ja nie zrozumiałem i którego nikt pewno nie zrozumiał. Jasnem było i zrozumiałem, kiedy mówiła, abyśmy się sprzymierzyli z Hebrajczykiem, ale ciemnem było i zawiłem jak węzeł u arkana myśliwca, to, że kazała nam uchwycić czarną egipską gołębicę, że obiecywała zwycięstwo wtedy, jeźli ta gołębica w naszym domu zagości.

— A ja rozumiem ten warunek — odrzekła na to Elpinoe spokojnie — i warunek wytłómaczę, ale nie wszystkim, tylko wam trzem: Danausowi i Kekropsowi, ponieważ są najstarszymi pośród narodu i tobie, bo masz mnie poślubić. Wy trzej do czasu zachowacie tajemnicę, a tajemnica jest konieczną.

Danaus był człowiekiem rozumnym, wielce ostrożnym i niedowierzającym. Przypuszczał, że szalbierze z zawodu i oszuści podstawieni przez ludzi żądnych zysku albo wywyższenia, nadużywali często imienia bogów, sztucznie układali wyroczne znaki, rzucając o ziem korę, naprzód już tak ugiętą, aby wydała wyrok pożądany, przypuszczając zwierzęta święte do pewnych wróżebnych ruchów, kłamiąc o tem, co znachodzili we wnętrznościach bydląt ofiarowanych bogom na żertwę, albo nawet udając natchnienie i święte szały a wygłaszając naprzód ułożone wyrocznie. Wszystko to przypuszczał, ale lękał się niedowiarstwa swojego, jak śmiertelnego grzechu, a wierząc także w prawdziwe wróżby, miał sobie za obowiązek nie badać tego, czy jaka wróżba nie była kłamaną? Lepiej było dać się oszukać, jak sprowadzić niedowiarstwem i nieposłuszeństwem gniew bogów na siebie i na swoich. A teraz trudno było wątpić o szczerem natchnieniu Elpinoi. Pallas Atene przemówiła chyba przez nią i trzeba było słuchać Pallady.

Rzekł tedy, zwróciwszy się do towarzyszy broni:

— Mężowie achajscy, cni bohaterowie z bogów rodu! Słyszeliśmy głos bogini, który nam nakazuje walkę i obiecuje zwycięstwo, ale pod warunkiem, któregośmy dotąd nie zrozumieli. Trzeba, abyśmy pochwycili czarną gołębicę egipską i przechowali ją w naszym obozie. Musimy usłuchać woli bogów nieśmiertelnych. Prawda, że uwodzą czasem ludzi z umysłu, że przysyłają im sny kłamliwe i nieprawdziwe proroctwa. Ale wtedy chcą zgubić ludzi i zgubią rychlej jeszcze nieposłusznych. Wtedy także bywa jedyna nadzieja w posłuszeństwie; ono jedno może czasem gniew bogów ubłagać i odwrócić złe przeznaczenie. Ja zatem pierwszy dam przykład posłuszeństwa Palladzie i żądam od was spokoju tylko, cierpliwości i karności. Powiodę was do walki, której pożądacie. A teraz odejdę zbadać bliżej wolę nieśmiertelnych i wiecznie szczęśliwych, dowiedzieć się, kim jest owa czarna gołębica i jakim sposobem można ją uchwycić? A wy bądźcie tymczasem tak spokojni, jak gdyby nic niezwyczajnego nie było zaszło. Niechaj się Egipcyanie po was nie domyślają tego, że chowacie w zanadrzu wielkie zamiary. Bogini żądała wyraźnie milczenia i ostrożności aż do chwili, kiedy zostanie spełnionym warunek, który postawiła.

Wojownicy uchylili głowę przed wyraźną wolą bogów. Kilku tylko pozostało przy biesiadnym stole, bawiąc się w kostki, a inni rozeszli się po koszarach, aby pełnić zwyczajną żołnierską służbę. Diomedon poprowadził tymczasem Danausa, Kekropsa i Elpinoę do wielkiej izby, którą zajmował wraz ze swoim druhem i pobratymcą Ajaksem, synem Fokosa, który wyjechał był tego dnia na pustynię, aby polować na lamparty. Nie było tedy w izbie nikogo oprócz tych, przed którymi Elpinoe chciała mówić otwarcie. Zapalono olejną lampę, mieszczącą się w jaju strusiem, zawieszonem u sufitu, i wszyscy zasiedli przy jej bladem świetle na ławach drewnianych, pokrytych skórami zwierząt.

— A zatem mów Elpinoe, kimby była owa czarna egipska gołębica? — zapytał się Kekrops, oparłszy łokcie na kolanach a głowę na dłoniach.

Elpinoe opowiedziała teraz po krótce swoje dotychczasowe losy, swój stosunek z Hesz-Akerą, przyjaźń dziewczyny, zaufanie, które rodzice młodej Egipcyanki mieli dla niej, rozmowę z Abibaalem i spisek pospołu uknuty. Przedstawiła wodzom greckim to, jak znacznym zakładnikiem byłaby w ich ręku córka Amenemhy, a oblubienica Setiego, jak możnaby Egipcyan bałamucić układami tyczącemi się jej osoby, zyskać na czasie, ułożyć jakąś chytrą zdradę i zapewnić sobie zwycięstwo.

Kekrops spytał się znowu o to, co się stanie z zakładnicą po odniesionem zwycięstwie?

Elpinoe odpowiedziała: Będzie wtedy już niepotrzebną. Jeźli oddacie w moje ręce Hesz-Akerę, wiem, co z nią zrobię. Będę z niej pasy darła i będę patrzała na to, jak skona wśród powolnej katuszy. Tak jej się odpłacę za litość, którą mnie zhańbiła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

pozwolić sobie mogą na jednokonną dorożkę za własne pieniądze. Nawet za ogłoszenie repertoaru teatr kijowski płaci dziennikom rocznie 1000 rubli, podczas gdy u nas to należy do „obywatelskich obowiązków“ mimo, że teatr jest tak samo przedsiębiorstwem, jak dziennik. A mimo to wszystko teatr kijowski nie boi się konkurencyi cyrków.

Z Chyrowa nam piszą: W *Przeglądzie* Nr. 70 umieszczono w kronice artykuł pt. „Sprofanowanie cmentarza przez radę miejską“. Ponieważ artykuł ów polega na mylnej informacyi, przedstawiamy sprawę w takiem świetle, w jakiem rzeczywiście się okazuje. Cmentarz w Chyrowie został istotnie wycięty, lecz nie w ten sposób, jak we wspomnianym artykule przedstawiono, przetrzebiono tylko głogi, tarninę, łozinę i chwasty a wyrębano stare, spróchniałe i ku upadkowi się chylące wierzby i topole, nie naruszając wcale drzew owocowych, lub ozdobnych.

Co do krzyżów, to nieprawdą jest, aby je połamano i poniszczono, gdyż jak stały, tak też i nietknięte stoją. Tak samo ma się rzecz i z grobami. W tym wypadku więc nie może być ani mowy o dzikiej tłuszczy, wandalizmie lub o profanacyi. Czyż jest to profanacyą, że obcięto kilka grabków do wysokości 1½ metra, aby na przyszłość sformować z nich żywy płot? czyż jest wandalizmem, że cmentarz z chwastów oczyszczono? Sądzimy, że nie. A dodać należy, że czyszczenie to przeprowadzili sami mieszczanie Chyrowa, których pradziadowie, ojcowie dzieci i powinowaci tam spoczywają. Co się zaś tyczy nagromadzonego mnóstwa sągów drzewa i urządzenia z cmentarza składu drzewnego, to może każdy sobie wyobrazić, że tylu sągów za 10 złr. nikt by nie sprzedał, suma zaś sprzedawanego materyału przedstawia się jako 2, dosłownie dwa sągi drzewa spróchniałego i kilku kup chrustu. Przy czyszczeniu cmentarza, uwzględniono wszystkie młode drzewka, które do ozdobienia jego nadal się zostawiło, a wycięto tylko chwasty i stare spróchniałe drzewa, które nie zdobiąc, były tak dla miejsca świętego, jakoteż odwiedzającej publiczności nie pożądane.

Z Drohobycza nam piszą: Miasto nasze zajęte jest obecnie nadzwyczaj żywotną sprawą. W myśl bowiem umowy z rządem, gmina miasta Drohobycza przystępuje w tym roku do budowy nowego gmachu dla gimnazyum. Rozchodzi się o miejsce, na którem stanąć ma nowy budynek. Proponowanych jest kilka placów budowlanych, mianowicie przy ulicy Zielonej, Pańskiej, Bednarskiej. Przeciwko budowie gimnazyum przy ulicy Zielonej zwróconą jest opinia znacznej części ludności z tego powodu, że ulica Zielona zbyt jest oddaloną od rozległych przedmieść naszego miasta, wskutek czego nie nadaje się jako stosowne miejsce dla gimnazyum, do którego uczęszczają synowie mieszczan drohobyckich. Proponowany przy ulicy Pańskiej plac, aczkolwiek ze względu na swoje położenie byłby najodpowiedniejszym, jest zbyt drogi, a nadto zachodzić mają jeszcze pewne prawne trudności, które nie dadzą się prędko usunąć i nie dopuszczają jego nabycia. Pozostaje zatem miejsce budowlane przy ulicy Bednarskiej. Miejsce to posiada dwa fronty, jeden od ulicy Bednarskiej, drugi od ulicy Maryackiej (Nowej), leży niemal w centrum miasta, a nadto przy ulicach spokojnych i wolnych od kurzu. Przytem wspomniany plac posiada wielkie ogrody, które nawet po wybudowaniu gmachu pozostać mogą i służyć będą jako miejsce spacerowe dla uczni. Front od ulicy Bednarskiej wychodzić będzie wprost na nowo urządzające się planty miejskie około figury św. Jana Nepomucena. Przeważna część, zwłaszcza ludności chrześcijańskiej, życzy sobie budowy gimnazyum na tem miejscu i nawet jak dowiadujemy się, wniesioną została do rady miejskiej petycya w tym kierunku.

Rozumie się samo przez się, iż wybór miejsca na tak wielki gmach, jest nadzwyczaj trudny, że trzeba dobrze zastanowić się nad tym krokiem, który dla przyszłości i dobra miasta jest tak wielkiej wagi. Nie naszym zamiarem jest wpływać na wybór miejsca dla gimnazyum. Pozostawiamy to sferom kompetentnym. W każdym razie jednak mamy nadzieję, iż reprezentacya znanego z ofiarności na cele szkolne i oświaty miasta naszego w wyborze tym kierować się będzie wyłącznie dobrem ogółu.

Z Wilna donoszą: Świeżo zobowiązano piśmiennie wszystkich księży w guberniach: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej, aby eksportowali nieboszczyków bez śpiewu; śpiewać wolno tylko w kościele i w obrębie ogrodzenia kościelnego. Dodajmy, iż na mocy poprzednich rozporządzeń, jeszcze z czasów Murawiewa, w pogrzebie katolickim może brać udział tylko jeden duchowny, wszelkie pochodnie, latarnie, chorągwie cechowe itp. są stanowczo wykluczone. Na obrazkach, medalikach i krzyżykach, sprzedawanych obficie przy Ostrej Bramie w Wilnie i przy innych kościołach, zabroniono już za czasów p. Orżewskiego umieszczania napisów polskich, z obrazków zaś i medalików, odbitych poprzednio, polskie napisy wymazano i wyskrobano. Do wszystkich urzędów powiatowych w 3 powyżej wymienionych guberniach, stanowiących jenerał-gubernatorstwo wileńskie, rozesłano wygotowane *ad hoc* nowe tablice z napisem: *„govorit' po polski vospreszczajetsia“*. (Nie wolno mówić po polsku).

Gdzie równouprawnienie? Ze sfer pocztowych otrzymujemy zażalenie, że podczas gdy urzędnicy i listonosze, wyznający religię żydowską, w najuroczystsze swe święta, jak: w sądny dzień i w nowy rok, wolni są zupełnie od służby, to chrześcijanie w największe święta katolickie pracować muszą tak jak w każdy dzień powszedni. I tak w dzień Bożego narodzenia pracowali oni od godziny 8 rano do 12 w południe i od 2 do 6½ wieczorem. Dziwi nas, że parlament państwa katolickiego, jak Austrya, nie wdał się w tę sprawę i nie położył kresu tym rzeczywiście dysparatnym stosunkom.

Nadmienić jeszcze musimy, że i w armii uczucia religijne żołnierzy żydowskich są nierównie więcej szanowane, aniżeli żołnierzy chrześcijańskich. Gdy bowiem w święta katolickie pozostawione jest woli dowódcy oddziału, których żołnierzy ma uwolnić od służby, to w święta żydowskie wszyscy żołnierze żydzi z rozkazu ministerstwa wojny są bez wyjątku uwolnieni. Ci żołnierze, urlopowani na święta, nie otrzymują żołdu, ale podczas gdy żołd należny żołnierzom chrześcijańskim przepada na rzecz oddziału, to żołd przypadający żołnierzom żydowskim za te dni świąteczne, wypłacany bywa kahałowi.

„Miserere“ Palestriny. Z Rzymu piszą:

Duszą i sercem nabożeństw wielkotygodniowych w Rzymie są — jak wiadomo — słynne na cały świat chrześcijański nieszpory z „Miserere“ Palestriny. Odbywały się one dawniej w samym pałacu watykańskim w kaplicy sykstyńskiej, dziś przeniesiono je do jednej z kaplic św. Piotra.

W wielką środę, czwartek i piątek, o czwartej po południu ciągnie od strony zakrystyi kilkudziesięciu kanoników św. Piotra: jedni w białych kapach futrzanych na rewerendach fioletowych, inni w szarych na sutannach czarnych. Za kanonikami posuwa się kilku prałatów, staruszków, siwych, zgarbionych.

Gdy całe to świetne kolegium zajęło miejsce w chórze, bocznemi drzwiami przybywa przeszło stu młodych księży i kleryków i ustawia się naprzeciw ołtarza. Zaczynają się zwykłe nieszpory, z tą tylko różnicą, że śpiewają nie proboszcz i organista, lecz kanonicy, prałaci i biskupi. Po kwadransie nastaje milczenie, trwające kilka minut, a potem dzieje się coś takiego, czego się nikt nie spodziewał, kto tego na własne uszy nie słyszał. Z głębokiej, poważnej ciszy wypływa gdzieś z góry, z chóru zakrytego szczelnie, jakby kwilenie konającego dziecka. Niemocna dziecina płacze łzami stygnącego serca, a skarży się głosem tak serdecznym, tak przesiąkłym boleścią, iż czuje się odrazu, że to płacz prawdziwy. Nawet Anglicy i Amerykanie, którzy przybyli tu na widowisko, przestają rozmawiać, uśmiechać się niemądrze, oglądać się idyotycznie; powstrzymują oddech i słuchają. I leje się to ciche łkanie z góry, to głośniejsze, to gasnące. Czasem jęknie, jak zerwana struna, aż wkońcu kona w omdlewającym szepcie. Gdy zamilkło, nastaje powtórne milczenie.

Po krótkim przestanku zaczyna się znów ten sam płacz rzewny, ale teraz nie dziecko się skarży, lecz dojrzały mężczyzna. Na chórku odzywa się potężny głos basowy, tak silny mimo tłumionych rozmyślnie tonów, że wypełnia sobą całą olbrzymią nawę św. Piotra. Jest jeszcze więcej tragiczności w skardze dorosłego człowieka. Boleść jego działa potężnie, rwie poprostu za serce, chwyta je kleszczami. Podobny śpiew mógł stworzyć tylko kompozytor, który czuł okropność ofiary Chrystusa na Golgocie i bolał nad nią prawdziwie.

I wierzący kompozytor stworzył ten śpiew, było to bowiem słynne *Miserere* Palestriny. Takiej skargi, prostej, składającej się z kilku powtarzających się akordów, a mimo to najgłębszej, jaką muzyka w ogóle wydała, nie słyszy się w żadnym utworze.

Dla samego *Miserere* warto przyjechać do Rzymu.

Spieszą też tłumnie do Stolicy św. Piotra na Wielki tydzień przedewszystkiem Anglicy i Amerykanie, których tu pełno we wszystkich kątach. Chodzą sobie po kościołach, jak po ulicy, zachowując się w nich nieprzyzwoiciej, niż w teatrach. W świątyniach Melpomeny i Talii siedzą spokojnie podczas widowiska, udają uważnych, z obawy przed publicznością i policyą, a w świątyni św. Piotra spacerują, tworzą gromadki, rozmawiają głośno, śmieją się, wyszczerzają długie zęby i wypełniają kościół swoim brzydkim, złodziejskim żargonem. Gdy się na chórze odzywa rzewny płacz Palestriny, poruszający każdy nerw, oni, pyszni synowie Albionu, biegną z hałasem w stronę kaplicy, wydobywają z kieszeni *Baedekery* i podkreślają właściwe miejsce, aby nie zapomnieć, że słyszeli *Miserere*. Miałoby się ochotę schwycić takiego zbogaconego episyera za kołnierz i wyrzucić go przed katedrę na bruk, aby się rozpłaszczył razem z swojemi pieniędzmi.

Bo to w znacznej części handlarze, spekulanci i inne tałałajstwo, pośredniczące między producentem a konsumentem, chociaż udają lordów. Widać to po ich dużych, niezgrabnych łapach, po czaszkach nierasowych i płaskich stopach, po głupich w końcu uwagach, przypominających sentecye i dowcipy kupczyków. Ten nieszczęśliwy „Anglik“ psuje we Włoszech każde wrażenie artystyczne. A pyszna ta hołota, jak pieniądz, któremu zawdzięcza podróże. Z drogi nikomu nie ustąpi, nie przeprosi nikogo, na środku schodów hotelowych się rozpiera, chociaż widzi, że ktoś inny idzie. Trzeba domniemanego lorda zmierzyć od czuba do stóp, jak lokaja, lub nawet fuknąć na niego, aby nie zawadzał ciągle. Anglicy i Amerykanie profanują *Miserere* Palestriny. Gdyby ich nie było w kościele św. Piotra, działałby ten serdeczny śpiew daleko silniej.

Straszny wypadek. W Bałachtyńku w Rosyi mieszczanin Aleksander W. w przeddzień swego ślubu udał się do mieszkającego w pobliżu przyjaciela swego Piotra B. z prośbą, żeby go ogolił. B. wymawiał się, że golić nie może, bo jest chory i ręka mu zanadto drży: ale gdy W. napierał, uległ jego prośbom. Golenie miało się już ku końcowi, gdy B. niezgrabnie posunąwszy brzytwę, skaleczył lekko w szyję W., który uczuwszy ból, w tej samej chwili chwycił się obu rękami za szyję i dłońmi swemi przycisnął do gardła brzytwę, której B. nie zdołał jeszcze odjąć od szyi. B., widząc, że W. brzytwą rani sobie szyję, chciał wyrwać brzytwę, ale wyrywając ją, przerznął mu zupełnie gardło. W., prawie nieprzytomny z bólu, zakrywszy dłońmi ranę, pobiegł na drugą stronę do swego domu, gdzie go na progu spotkała narzeczona. — „Co tobie?“ zapytała. — „Piotr B. skaleczył mnie“ odparł i chcąc pokazać ranę, odjął ręce od szyi. Z odkrytej rany krew buchnęła strumieniem i W. padł nieżywy na ziemię. Podczas kiedy się to działo, Aleksander B., z rozpaczy, tą samą brzytwą, którą skaleczył przyjaciela, poderznął sobie gardło i w kilka minut później wyzionął ducha.

Z Rzymu piszą: Czuć daje się tu brak polskiego domu, któryby łączył wszystkich Polaków mieszkających w Rzymie. Zebrani tu teraz Polacy upraszają ks. Marcelego Czartoryskiego, aby ustalił tu swe zimowe wędrówki i wytworzył w wiecznem mieście stałe ognisko życia polskiego i społeczny węzeł Rzymu z Polską. Może prośby będą wysłuchane.

Ks. kardynał Ledóchowski, który mimo rozlicznych zajęć uciążliwego swego stanowiska znajduje zawsze dość czasu, aby z największą łaskawością przyjmować ziomków i opiekować się nimi, wygląda bardzo dobrze i mimo zaczętego ósmego krzyżyka jest zdrów i rzeźki. Nie ma w Rzymie bardziej szanowanego kardynała, a zewsząd podnoszą się głosy, iż nowy dla Propagandy rozpoczął się okres, odkąd on objął jej rządy i własną energią spotęgował działanie ogarniającej świat cały instytucyi. Dumni też być możemy i wdzięczni, że zbyt często sponiewierane imię nasze tutaj on cnotą swą i zacnością tak wysoko podniósł i z taką godnością kraj swój przedstawia wobec miasta i świata.

Wypadki. Dzień wczorajszy obfitował w ogromną ilość nieszczęśliwych wypadków, z których ważniejsze podajemy. W zakładzie gazowym na kolei gaz zabił robotnika. Ciało zmarłego, który pozostawił żonę i sześcioro drobnych niezaopatrzonych dzieci, odstawiono do szpitala powszechnego. — O godzinie 2-giej popołudniu odebrał sobie życie na Wysokim Zamku mężczyzna lat około 40. Zawiadomiona o wypadku dyrekcya policyi wysłała na miejsce komisarza policyi, który znalazł denata w pozycyi siedzącej na ławce obok groty murowanej. Denat niewiadomego nazwiska, jest wzrostu wysokiego, z rudawym zarostem, ubrany w futro czarne barankowe i czarny garnitur, ma bieliznę znaczoną literami: K. K. — O godzinie pół do 5-tej zmarł nagle na placu Smolki naczelnik stacyi Lisko, Michał Sierant, żonaty, ojciec dwojga dzieci. Ciało zmarłego przeniesiono na inspekcyę policyi, a wezwany lekarz skonstatował atak apoplektyczny z silnym krwiotokiem. — O godzinie 7-mej wieczór podrzucono w kahale jednoroczne dziecko. Policya odstawiła je do II-go komisaryatu. — Przy drodze „Na Błonia“, pod nr. 24, zmarła wczoraj wskutek poparzenia Domicela Szostakiewicz, wdowa po kucharzu, 78 lat licząca. O godzinie pół do 7-mej wieczorem wyszła synowa jej wraz z siostrą i szwagrem do teatru, a zamykając, jak zwykle, matkę w domu, postawiła lampę i zapałki na przypiecku. Szostakiewiczowa była sparaliżowaną, nogi miała opuchnięte, a poruszając się z trudnością, chciała widocznie zapalić lampę, przyczem zapałka paląca spadła na łóżko. Sąsiedzi, poczuwszy dym i widząc kłęby jego wydobywające się z mieszkania, wtargnęli do wnętrza, zkąd wynieśli już tylko trupa. Na poduszce leżała książka do modlenia. Odzież do piersi spalona, a nafta w lampie nienaruszona. Dr. Krobicki skonstatował śmierć wskutek popalenia i uduszenia dymem.

Zmarli. Stanisław Prawdzic Szamota, praktykant koncepcyjny przy prezydyum dyrekcyi skarbowej we Lwowie, pracowity, zdolny i bardzo lubiany młodzieniec, umarł w 27 roku życia.

Stan powietrza. Term. + 2° o godz. 8 rano, w poł. + 6° R. Bar. 764. Pochmurno.

Rozmowa podczas kadryla.

Ona: Nie każdy może mieć pięknie brzmiące nazwisko — ja się nazywam tak komicznie, Świszczypalska.

On: Ależ proszę pani, to bardzo ładne nazwisko! Ja mam gorsze — Trąbaliński.

Ona (z uczuciem): Ach! Trąbalińską gotową byłabym choćby zaraz zostać.

Aforyzmy.

Być rozsądnym w nieszczęściu równa się skromności w powodzeniu.

Literatura i Sztuka.

* **„Powstanie kościuszkowskie,“** szkic historyczny pióra Stanisława Pepłowskiego ukaże się w tym jeszcze tygodniu w osobnej książkowej odbitce nakładem księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza.

* **Zagłoby** nr 13 z dnia 31 marca wyszedł już w zwiększonej objętości. Odtąd redakcya będzie dawać znacznie więcej tekstu, przeniósłszy inseraty na osobne okładki. Co do literackiej strony tego numeru, zauważymy, że zgodnie z programem, jaki sobie redakcya wytknęła, jest satyryczną kroniką minionego tygodnia. Dominują w nim dwie kwestye: rocznica Kościuszkowska i encyklika papieska, o których wspomina *Zagłoba* w kilku miejscach. Oto n. p. ustępik p. t. „Nowy kościół“, charakteryzujący pewne agitacye i pomysły, powstałe podobnoś istotnie w jakiejś niedowarzonej głowie: „Dowiadujemy się z wiarygodnego źródła — pisze *Zagłoba* — że jeden z dziennikarzy polskich, niezadowolniony z encykliki papieskiej, zawierza utworzyć nowy kościół polsko-demokratyczno żydowski, na którego czele stanąć ma znany rabin Bloch z Floridsdorfu“. Dobrym jest także rysunek z cyklu „Okazy na wystawę lwowską“. Przedstawia on „obraz porównawczy piramidy lwowskiego błota w stosunku do wysokości wieży Eiffel“. Jeszcze trochę tylko, a lwowskie „piramidy“ dosięgną wysokości wieży Eiffla, a może nawet odbiorą mu pierwszeństwo wśród niebotycznych gmachów świata.

Rozmaitości.

— **Wpływ ćwiczeń sportowych na zdrowie.** Znany specyalista w chorobach nerwowych dr. J. Wilheim, który przez wydanie całego szeregu popularno-medycznych broszur o chorobach nerwowych zaszczytne zajął miejsce w niemieckiej literaturze medycznej, wydał niedawno nowe dzieło popularno-medyczne. W niem porusza sprawę będącą obecnie na porządku dziennym, a mianowicie, oparty na licznych spostrzeżeniach zebranych w swej praktyce lekarskiej, omawia wpływ rozmaitych modnych dziś ćwiczeń sportowych na zdrowych i chorych ludzi.

W pierwszym rozdziale swego dzieła mówi dr. Wilheim o wpływie gimnastyki na kobiety. Zaznacza, iż ani z estetycznych ani etycznych względów nic nie przemawia przeciw temu, żeby kobiety nie mogły siły swych muskułów wzmacniać przez gimnastykę. Dziś kobiety, szczególniej z lepszych sfer, prowadzą życie pod względem hygienicznym nadzwyczaj nieodpowiednie. Dzień cały spływa im na czytaniu lub robieniu jakichś kobiecych robótek, ruchu używają mało. Ztąd też to pochodzi, iż już bardzo wcześnie panna lub młoda mężatka nabiera niezdrowej tuszy, cierpi na nerwy, a bardzo często ukazują się u niej symptomy hysteryi i początki chorób nerwowych, które później z latami nieraz w zastraszający sposób występują. Wolne są od tych chorób te kobiety, które przez odpowiednie uprawianie gimnastyki lub stosownego dla nich sportu wzmacniają muskuły i w skutek tego aż do późnej starości zachowują silne i elastyczne nerwy.

W dalszym ciągu omawia dr. Wilheim działanie rozmaitych ćwiczeń sportowych na zdrowie ludzkie. Wspomina o grach dziecinnych i z zadowolnieniem konstatuje, iż zarządy szkolne w Austryi, które chociaż późno, ale jednak uznały, że gry te i zabawy są dobre i pożyteczne, teraz, o ile tylko pozwalają na to okoliczności, wszędzie urządzają, po miastach dla tych zabaw odpowiednie boiska.

O sporcie wioślarskim mówi dr. Wilheim, że jest on mieczem obosiecznym. Zanadto forsowne ćwiczenia, jak np. przy wyścigach wioślarskich, przy popisach łódką itp., mogą być nawet szkodliwemi. Przy ćwiczeniach bowiem tych muszkuły muszą spełniać uciążliwą pracę, zwłaszcza nadmiernie pracują muszkuły rąk i piersi; serce przez szybkie i głębokie oddechanie przy wyścigach wioślarskich bywa mocno podrażnione i w skutek tego u osób niebardzo odpornych może powstać choroba sercowa, zwana hypertrofią (rozrostem), czego dalszym skutkiem może być zupełne osłabienie tego najważniejszego w ciele ludzkiem organu. Dla ludzi, którzy żadnych wad organicznych nie mają, sport wioślarski żadnego nie przedstawia niebezpieczeństwa.

Natomiast bieganie na nartach przenosi dr. Wilheim z hygienicznych względów nad ślizgawkę. Zdaniem jego bieganie na nartach, podczas którego przebywa się wielkie przestrzenie, jest o wiele zdrowszem, niż ślizganie się na łyżwach na placach wąskich, położonych nieraz w środku miasta, pomiędzy domami, a więc niemających wiele świeżego powietrza. Nadto ślizgawka zwykle jest przepełniona, publiczność ślizgająca się skrępowana przepisami musi zachowywać pewne konwencyonalne formy, na lodzie odbywają się przedstawienia, prowadzą się często banalne rozmowy. Mówienie zaś na ślizgawce podczas ostrego mroźnego wichru wcale nie jest hygieniczne.

O sporcie welocypedowym wyraża się dr. Wilheim w te słowa: „Człowiek, który przez cały dzień musi przy biurku pracować, wyszedłszy wieczorem z zajęcia nie może zawsze odbyć jakiegoś dalekiego spaceru za miasto, gdzie go wabi świeże powietrze. Spacer zaś po przepełnionych, pełnych kurzu ulicach, nie jest ani zdrowym, ani też nie należy do wielkiej przyjemności. Gdy więc taki człowiek wsiadłszy na stalowego rumaka, sam lub w towarzystwie kilku znajomych wyjedzie za miasto, to bezwarunkowo wybrał dla siebie najodpowiedniejszy ze sportów, który przyczynia się do podniesienia jego zdrowia, wzmacnia jego ciało, a duchowi jego użycza odpowiedniego spokoju i zapomnienia o codziennych troskach. Wszystko, co dotąd mówiono, lub pisano przeciw sportowi welocypedowemu, aby go albo zupełnie usunąć, albo przeszkodzić jego rozszerzaniu się polegało, zdaniem dra Wilheima na niezrozumieniu doniosłego dla zdrowia znaczenia tego sportu, albo było tylko wypływem niechęci. Zresztą dyskredytowali go także niektórzy cykliści. Każdy sport bowiem przynosi zdrowiu korzyść tylko wtedy, jeśli jest używany w miarę. Jak np. jedzenie jest koniecznem dla życia, a jednak nadmiernie używane, szkodę mu przynosi, tak samo rzecz się ma i z welocypedowym sportem. Przed laty, gdy sport ów zaczął się dopiero rozwijać, wielu lekarzy sprzeciwiało się mu. Nawet profesor Skoda, jeden z najznakomitszych dyagnostyków był przeciwnikiem welocypedu. Jego zarzuty, które czynił temu sportowi, miały pewną racyę ze stanowiska teoretycznego, ale bardzo rzadko sprawdzały się w praktyce. Być może, że do niepochlebnego sądu o welocypedzie skłoniły profesora Skodę ówczesne welocypedy, pozostawiające pod względem mechanicznej konstrukcyi bardzo wiele do życzenia, oraz ówcześni welocypedyści, rekrutujący się wyłącznie z młodych ludzi, pozostających w fazie rozwoju, a oddających się ze szkodą dla zdrowia nadmiernie temu sportowi.

Największe zarzuty, które czyniono sportowi welocypedowemu, uważając go za ćwiczenie zdrowiu szkodliwe, polegały zdaniem dra Wilheima na fałszywych przesłankach. W istocie sport ten dla młodych ludzi, o wązkiej piersi i rozwijających się dopiero, przedstawia pewne niebezpieczeństwo, szczególniej, gdy spacery welocypedem odbywają się na pełnych kurzu drogach, przez forsowną jazdę nadwerężają narządy oddechowe, serce i muszkuły, nie zdolne jeszcze do wykonywania tak wielkiej pracy.

Młodzieńcy ci mogą w istocie z powodu jazdy na welocypedzie dostać bólów nerwowych w muskułach, nerwowego drgania kończyn, inklinacyi do reumatyzmu stawów, a w dalszym ciągu mogą chorować na serce i narządy oddechowe. Lecz są to tylko wyjątki, a wyjątki nie mogą być miarą do ocenienia sportu pod względem wpływu jego na zdrowie ludzkie. Liczne doświadczenia zebrane w ciągu lat kilku, dowodzą niezbicie, iż sport ten dla ludzi normalnie rozwiniętych i nie posiadających żadnych wad w organizmie, jest bardzo odpowiedni i zdrowy, a nawet rozsądnie używany, usuwa niektóre dolegliwości, jak np. niezdrową tuszę, skłonność do tycia, osłabienie muszkułów, nerwowy zawrót i ból głowy, migrenę, nerwową niestrawność i hypochondryę.

Zwykle taki welocypedysta w tym czasie, w którym odbywa wycieczki, gdyby ich nie przedsiębrał, siedziałby w kawiarni wśród dymu i czytał dziennik. A każdy przyzna, że spacer zdrowszym jest od siedzenia w kawiarni. W końcu ruch, jaki odbywa welocypedysta, jest mimowolnym masażem żołądka i gimnastyką oddechową. Wzmacnia się więc żołądek i płuca.

Jazda na bicyklu i trycyklu wzmacnia nietylko muszkuły nóg, ale także muszkuły żołądka, piersi i ramion. Nie ma innego środka, któryby muszkuły w taki ruch wprawiał i tak je pod każdym względem wzmacniał, jak jazda na welocypedzie. Skutkiem tego jest to, że wprawny welocypedysta, przy wszystkich innych sportach może popisać się swą zręcznością i siłą.

W pierwszej linii są oni najlepszymi piechurami, gdyż przyzwyczajeni są do ciągłego skurczu i rozkurczu muszkułów w kolanie i łydkach. Szczególniej w uciążliwych górskich wycieczkach okazują więcej wytrwałości i zręczności od osób nie jeżdżących na welocypedzie.

— **Skarpologia.** Cóż to za nowa nauka? — zapyta się pewnie czytelnik. Czy wzbogaci ona wiedzę, nie wiadomo; lecz bądź co bądź jest to wynalazek — osobliwy. Polega on na tem, iż uczy poznawać charakter, upodobania i skłonności danej jednostki, przez badanie — nie pisma, nie ręki, a nawet nie nogi, lecz starego obuwia. Wynalazcą jest dr. Garré z Bale. W noszonym przynajmniej przez trzy miesiące bucie lub trzewiku, widzi on zalety i wady jego posiadacza: energię lub brak jej, niestałość, apatyę, popędliwość i t. d. Oto kilka wskazówek zasadniczych.

Jeśli obcas i podeszew są starte narówni, świadczy to u mężczyzn o charakterze silnym, o usposobieniu sumiennem i systematycznem; u kobiety znamionuje, iż jest lub być może wierną żoną i dobrą matką. Jeśli zniszczony jest tylko brzeg zewnętrzny, to posiadacz obuwia jest zapewne uparty, samowolny, przedsiębiorczy, podszyty awanturnikiem; jeśli zaś bardziej zniszczonym jest brzeg wewnętrzny, oznacza to u mężczyzn słabość charakteru i brak stanowczości, u kobiet — łagodność i skromność.

Aby dowieść słuszności swych spostrzeżeń, p. Garré opowiada, iż niedawno przybył do niego po poradę jakiś człowiek, bardzo przyzwoitej na pozór powierzchowności. Doktor obejrzał go od głów do stóp, raczej — do podeszew. Otóż brzegi zewnętrzne były zupełnie zniszczone, reszta podeszwy zu ełnie nieużyta. „Człowiek ten musi być awanturnikiem, a może nawet łotrem“ — pomyślał pan Garré. Jakoż nazajutrz podejrzany pacyent został zaaresztowany za kradzież.

Sport.

Wielki doroczny wyścig wioślarzy uniwersytetów Oxford i Cambridge na Tamizie między Putney a Mortlake odbył się dnia 17go marca r. b. Wygrali ciemno-niebiescy (Dark Blues) tzn. uniwersytet Oxfordski.

* * *

Tyle razy już wspominany syn „Przedświta“ „Igen“, będący własnością hr. M. Eszterhazy'ego, biegał 16go marca w Kempton Park i przeskoczywszy ostatnią przeszkodę, zdawał się z łatwością wygrywać; w tem nagle umknął z toru w bok, wleciał na jakąś przeszkodę, przez którą się przewracając, skręcił kark na miejscu.

* * *

„Funny Face“, własność niemieckiego porucznika v. Eynard wygrawszy w Anglii w ciągu 48 godzin dwa dość znaczne biegi, poszedł w górę w zakładach na wielki bieg myśliwski w Liverpoolu. W kilka dni później pod kolosalną wagą 83 kilogramów wygrał z łatwością bieg z przeszkodami w Rugby; gdy jednak przybył do mety okazało się, że się skaleczył tak silnie w przednią nogę, iż musiał zostać wycofany z biegu w Liwerpoolu, bo poprzecinał sobie ścięgna.

* * *

„Nem szabad“ hr. M. Eszterhazyego stanowczo już więcej biegać nie będzie i odchodzi do stada. Znowu jeden z błogich skutków wyczerpywania wyścigami koni dwuletnich.

Część ekonomiczna.

§ **Dyrekcya ruchu kolei państwowych** donosi: Wydanie dodatku Igo do taryfy dla przewozu osób, pakunków, posyłek pośpiesznych (ekspresowych) i psów“ ważnej od 1 stycznia 1893 r. Z ważnością od 1go kwietnia 1894 r. zaprowadzonym zostanie dodatek I-szy do wyżwspomnianej taryfy. Takowy zawierać będzie zmiany postanowień dla przewozu osób. Egzemplarzy tego dodatku nabyć można w stacyach kolejowych i w c. k. dyrekcyi ruchu po cenie 5 ct. w. a.

Telegramy „Przeglądu“.

Budapeszt 2 kwietnia. Pogrzeb Koszuta odbył się wczoraj przy olbrzymim udziale publiczności miejskiej i przybyłej ze wszystkich stron kraju. W Muzeum narodowem, gdzie zwłoki jego złożone były na katafalku, przemówił imieniem sejmu węgierskiego Maurycy Jokaj, przybrany w strój narodowy, a imieniem miasta burmistrz Gerloczy. O godzinie 11 wyruszył orszak pogrzebowy, a rozwinąwszy się, zajął 2½ kilometra długości. Przodem postępowała straż honorowa na koniach, potem mnóstwo deputacyi, publiczność wszystkich warstw i stanów, członkowie Izby posłów i magnatów i duchowieństwo. Przed pogrzebem szło dwadzieścia wozów z wieńcami. O godzinie 2 po południu dosięgnął pochód cmentarza, gdzie po odprawieniu ceremonii przez duchowieństwo, przemawiali imieniem swoich stronnictw posłowie: Just jako prezes stronnictwa niezawisłych i Hermann. Mimo, że w pogrzebie wzięło udział z parękroć sto tysięcy ludzi, spokój nigdzie nie został zakłócony.

Londyn 2 kwietnia. W miejscowości Blackheath znaleziono podrzuconą w tamtejszym hotelu bombę, jednak po dokładnem zbadaniu jej okazało się, że był to niewczesny, ale nieszkodliwy żart.

Petersburg 2 kwietnia. Prowizoryczny traktat handlowy między monarchią austro-węgierską a Rosyą wchodzi w życie dnia 2 kwietnia, a obowiązywać będzie do 1 lipca starego stylu, t. j. od 14 kwietnia do 13 lipca według naszego kalendarza.

Lima 2 kwietnia. Prezydent rzeczypospolitej Peru, Benander umarł. Z tego powodu obawiają się tu wybuchu rewolucyi.

Kopenhaga 2 kwietnia. W Landsthingu (izbie niższej) wyraził prezes gabinetu Estrup zadowolnienie, że izba przyjęła budżet, a potem zawiadomił ją, że podał się do dymisyi.

Friedrichsruh 2 kwietnia. Z powodu rocznicy urodzin Bismarka, nadesłano mu wiele listów z powinszowaniami i podarunkami. Cesarz Wilhelm przez swego adjutanta przybocznego przysłał odręczne pismo i wspaniały pancerz kirasyerski. *Post* donosi, że cesarz przedtem wystosował do Bismarka nadzwyczaj serdeczną depeszę, w której zapowiadając podarunek wyraził się, że materyał stalowego pancerza oznacza wdzięczność i cześć Niemiec dla Bismarka, której wyrazem jest ten podarunek.

Konstantynopol 2 kwietnia. Pogłoski o gwałtownem rozszerzaniu się cholery są przesadne. Wczoraj skonstatowano tylko cztery wypadki cholery. Jeneralny dyrektor Forni i doradzca prawny Calliadi-bej zmarli w skutek spożycia zepsutych ostryg.

Kolonia 2 kwietnia. Do *Gazety Kolońskiej* donoszą z Petersburga, iż w tamecznych sferach dworskich utrzymuje się pogłoska, że carewicz następca tronu zaślubi księżniczkę Alicyę heską.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Czwartego kwietnia o godzinie dwunastej odbędzie się **nabożeństwo za duszę śp. Eugeniusza Brodzkiego** w kościele katedralnym, na które pozostała matka zaprasza krewnych i przyjaciół.

Wiedeń dnia 2 kwietnia. (godz. 11 w połudn. Kredyty 372·12, kred. węgierskie 443·75, Anglob. 155.—, Uniony 269·50, Bankvereiny 130.80, Länderbanki 255.80, Akcye tytoniowe 217.—, Staatsbahny 338.12, Lombardy 109·12, Elbethale 263·75 Renta papierowa 98·50, Renta węg. 4% kor. 95·12 Renta węg. złota 4% 118·10, Alpiny 66·40. Mark. 60·97, Losy tur. 63·20.

Lwów dnia 2 kwietnia. (… Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·— do 218·—. Kolej Lwow.-Czern. Jasska po 200 zł. w. 277.— do 280·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 388 — do 398·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5%, losow. w 40 lat. 101·— do 101·70, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70, Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·50 do 101.20. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·30 do 98.—. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·30 do 99·—. 4% los. w 41½ lat. 98.10 do 98·80, 4% los. w 56 latach 98·— do 98·70. 4½% los. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·90 do 97.60. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·30 do 103·— Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·50 do 97·20 4% z roku 1893 96·50 do 97·20.

Monety. Dukat cesarski 5·83 do 5·93 Napoleondor 9·85 do 9·95. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.32·— do 1.35·— 100 marek niemieckich 60·75 do 61·20.

80)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

Wszedł do pokoju drugiego, zapalił w piecyku gaz i postawił nad nim rądelek z gotową potrawką.

— Nieoszacowana kobieta ta pani Samuel — mówił do siebie wesoło. — Dzięki jej, nie potrzebuję chodzić do tych obrzydliwych garkuchni. Zapalam gaz i w dziesięć minut, przez które przeglądam dziennik, mam obiad gotowy. Porządna kobieta, nie zapomina nawet o nakryciu.

Rzeczywiście na małym, stojącym obok stoliku leżała biała jak śnieg serweta i przygotowane były naczynia stołowe, oraz butelka wina czerwonego, karafka z wodą i kawałek sera.

Podczas, gdy przyrządzona przez panią Samuel potrawka przygrzewała się, Robert siadł pod wiszącą u sufitu lampą i zaczął czytać dziennik. Padające od niej światło pozwalało doskonale widzieć najdrobniejsze nawet rysy jego twarzy. Nie była ona regularną w ścisłem znaczeniu tego słowa, gdyż czoło, pod krótko ostrzyżonemi ciemnemi włosami wydawało się zbyt wielkie, ale całość formy owalnej, zakończonej brodą, wspaniała cera, zwłaszcza ciemne oczy, rozumne i łagodne, nadawały całemu obliczu wyraz niezmiernie sympatyczny.

Zaledwie ukończył swój skromny obiad, gdy ktoś zapukał do drzwi. Był to Périer, artysta malarz, z którym Robert spotykając się często w muzeach, powoli zawiązał stosunki bliższe.

— Co cię sprowadza do mnie dzisiaj? — zapytał Robert.

— Mam cię prosić o pewną przysługę.

— Najchętniej, jeżeli tylko będę mógł.

— Potrzebuję ciebie dla moich obrazów. Napróżno szukam modelu i nie mogę znaleść tak wspaniale zbudowanego, z takim pysznym torsem, głową oryginalną i małemi jak u kobiety kończynami.

— Mój drogi!... proszę cię... bo się zarumienię...

— Wiesz dobrze, że nie mówię ci komplimentów. W naszym stosunku wyglądałoby to głupio. Wahałem się długo, gdyż wiem jak jesteś zajęty i zresztą, prośbę moją uważałem za wielką niedyskrecyę. Ale, choćbyś nazwał mnie śmiesznym, przyznam ci się, że od kiedy myśl ta przyszła mi do głowy, nie mogę spić. Zrób dla mnie tę łaskę.

— Bardzo dobrze. Tylko że rzeczywiście, jak powiedziałeś przed chwilą, jestem bardzo zajęty.

— Tutaj? W pracowni?

Robert zarumienił się, zawahał chwilę, lecz po sekundzie dodał zdecydowany:

— Jestem robotnikiem i czas mój nie należy do mnie.

— Ty, robotnikiem! z temi nogami, rękami i taką postawą? Nigdy w to nie uwierzę, wyglądasz jak królewicz.

— A jednak jestem tylko prostym robotnikiem, rzeźbiącym w drzewie, a nadto dzieckiem opuszczonem, samotnem na świecie.

— Robercie! — zawołał Périer z boleścią — przebacz mi, nie wiedziałem... Nawet nie przypuszczałem tego, co mi mówisz. Proszę cię, zachowaj przy sobie swą tajemnicę. Ja kocham cię i szanuję takim, jakim jesteś.

— Owszem, wolę już raz to powiedzieć. Zresztą, jeżeli sytuacya moja była dla mnie nieszczęściem bardzo wielkiem, to przecież nie może mi być poczytaną za zbrodnię. Tak przynajmniej przypuszczam.

— Ależ naturalnie! Zresztą, tem większa twoja zasługa, że sam zapewne zdobyłeś wszystko, co posiadasz dzisiaj.

— Rzeczywiście, tylko własnemi siłami. Od lat najmłodszych, o ile tylko sięgnąć mogę pamięcią, widzę mury szpitalne, białe korytarze, szarytek i ławki przytułku, na których siadywały przybyłe z miasta dzieci z koszykami pełnemi przysmaków; my sieroty, wychowańcy zakładu, spoglądaliśmy zdala na te smaczne rzeczy, wiedząc, że nie skosztujemy ich nigdy. Ale dla mnie, był jeszcze przykrzejszy widok, gdy mali towarzysze moi odchodzili do domów, gdzie ich oczekiwały pocałunki i pieszczoty matek. My, nie doświadczaliśmy tego nigdy... Czasami, gdy byliśmy bardzo grzecznymi, wynagradzano nas obrazkiem lub cukierkiem, lecz nigdy pocałunkiem.

W zakładzie naszym było wszystkiego po trochu: dzieci, chorych i niedołężnych. Jeden z tych ostatnich był stary artysta rzeźbiarz, mający niegdyś pewien rozgłos. Podczas lata, gdy swe sparaliżowane nogi wygrzewał na słońcu, pozwalano mi bawić się około jego fotelu. Przywiązanie do sztuki przeżyło w nim utratę pamięci i prawie wszystkie inne władze umysłowe. Pomimo, iż nie mógł już mówić, nauczył mnie przecież modelowania w glinie. Prawdopodobnie, musiałem mieć jakąś zdolność, gdyż przychodziło mi to łatwo. Modelowałem wszystko: zwierzęta, kwiaty ogrodowe, posągi i naczynia kościelne. Szarytki znajdowały przedmioty te doskonałemi, przekonane, że wyrosnę kiedyś na wielkiego artystę, obchodziły się ze mną z wielką pobłażliwością.

Miałem lat dwanaście, gdy przełożona, która przyjęła mnie do zakładu i lubiła mnie, zmarła nagle. Była to niezmiernie dobra i zacna kobieta. Następczyni jej już była inną; chuda, nerwowa, surowa, rządziła despotycznie. Zaraz po objęciu obowiązków zaczęła narzekać na zbytki i trzymając się ściśle regulaminu, dzieciom, liczącym po lat dwanaście, kazała pracą zarabiać na życie. W tym celu poumieszczała nas w okolicy u włościan. Ja trafiłem bardzo nieszczęśliwie. Włościanie, u których umieszczono mnie, byli brutalni, chciwi i okrutni; pobyt mój u nich był dla mnie piekłem. W zakładzie nie przyzwyczajono mnie do ciężkiej pracy, tymczasem u nich od rana do nocy musiałem siać, bronować, pleć... Ale co było gorszem od zabijającej mnie powoli pracy nad siły, to nazywanie podrzutkiem. Nigdy nie nazywali mnie po imieniu...

— Biedny! — szepnął Périer ze ściśniętem gardłem i łzami w oczach.

— Słusznie żałujesz mnie, gdyż byłem wówczas tak nieszczęśliwym, iż nie rozumiem, jakim sposobem nie odebrałem sobie życia. Skończyłem lat osiemnaście, gdy jeden z synów mego gospodarza powrócił ze służby wojskowej. Przebywał on czas jakiś w Paryżu i opowiadał o nim nieustannie. I dziwna rzecz, najwięcej zajęły go tam Louvre, Wersal i wystawy obrazów. Opowiadania jego wskrzesiły we mnie instynkta artystyczne. Od tego czasu nie sypiałem, nie jadłem i myślałem tylko, jakim sposobem dostać się do Paryża.

Nareszcie nie wytrzymałem.

Z zarobków, wypłacanych mi w końcu każdego roku, miałem zebranych dwanaście franków i z temi pieniędzmi w kieszeni, z trzewikami w ręku, ubogiem odzieniem, zawiązanem w węzełek, zawieszony na końcu kija, pewnej nocy uciekłem od mego gospodarza.

— Daleko to było? — zapytał rozrzewniony Périer.

— Szpital, w którym mnie umieszczono, był w Orleanie, włościanie zaś, u których przebywałem, mieszkali w okolicy miasta, do Paryża zaś szedłem dni ośm. Podczas drogi zatrzymywałem się tylko wieczorami u drzwi chat wiejskich, od których mnie niekiedy odpędzano, ale najczęściej dawano mi kawałek chleba i nocleg na słomie w jakiej budzie wraz z psami.

— No, i po przybyciu do Paryża ze swemi dwunastoma frankami, nie mając nikogo znajomego, jakżeś sobie poradził? — zapytał Périer.

— Bieda mi dokuczała wielka, ale miałem przynajmniej swobodę. Jakiś furman, spotkany na drodze, pozwolił mi wsiąść na wóz. Po kilku godzinach rozmowy powiedział, że jestem dobry chłopiec i poradził mi udać się do pewnego zakładu na przedmieściu św. Antoniego, gdzie wyrabiano kasy. Dostarczał on tam towarów i wiedział, że potrzebowano ucznia. Usłuchałem rady, lecz trafiłem nie tego. Przyzwyczajony do wiejskiego powietrza nawet w nędzy wiejskiej, nie mogłem znieść nieustannego huku młotów. Przytem karmiono mnie źle i niedostatecznie. Wycieńczony pracą dzienną, w nocy nie mogłem zasnąć z głodu.

Dostałem zapalenia mózgu i odesłano mnie do szpitala. Nie wiem, jakim sposobem nie umarłem z tej choroby, najczęściej śmiertelnej. Gdy miałem się już nieco lepiej, poznałem się z moim sąsiadem.

Był to chłopak w moim wieku i terminator, ale u stolarza. Jego pracodawca, odwiedzający go każdego czwartku i w każdą niedzielę, zainteresował się mną i po moim wyjściu ze szpitala wziął mnie do siebie. Robiłem więc tanie meble, a to mogło zaspokoić moich pragnień. A ponieważ przypuszczałem, że podstawą sztuki, która mnie zawsze pociągała, był rysunek, zacząłem więc uczęszczać na wieczorne kursa rysunkowe. Ale w miarę, jak zaznajamiałem się z innymi chłopakami w mym wieku, spostrzegałem, iż edukacya moja była bardzo zaniedbana. Wtedy ze pieniędzy, które mogłem oszczędzić na życiu, zacząłem brać lekcye. Nauczycielem moim był staruszek bardzo wykształcony, który zachwycony moją ochotą do pracy i energią, powziął dla mnie wielką życzliwość i nauczył mnie prawie wszystkiego co dziś umiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W Hudak.